



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

FLORENTYNA Z DOMASZEWSKICH

WŁOSZKOWA

(Wspomnienie pośmiertne).

Dnia 4 lutego bieżącego roku przestało bić pomiędzy nami jedno szlachetne serce niewieście, przerwało się przedwcześnie istnienie pracowite i już zasłużone — umarła Florentyna z Domaszewskich Włoszkowa, przez lat kilka ochmistrzyni jednego z najlepszych w mieście naszym zakładów naukowych dla dziewcząt, niepospolicie zacna i rozumna kobieta. Urodzona w Warszawie 1843 roku, została w dzieciństwie sierotą: matka, Florentyna z Racyńskich, odumarała ją w dziewiątym roku jej życia; ojciec, lekarz z zawodu, w rok potem poszedł za żoną, lecz pozostałe sieroty znalazły tkliwą opiekę rodzinną i osierocona dziewczeczka chowała się u rodziców matki, otoczona miłością i staraniem takim, że nigdy uczuć się nie mogła opuszczoną i samotną. Ale strata rodziców oddziaływała mimo to na charakter, a nawet skierowanie jej umysłu. Serce dziecinne już było sercem zdolnym kochać gorąco i boleśń dwóch okrutnych ciosów nie przeszła po niem lekko, wspomnienie ukochanych a straconych nie zatarło się w młodej pamięci, lecz przeciwnie tęsknota rosła niemal z latami, uczucie wyjątkowej niedoli rozpostarło się w niem rozżaleniem głębokiem i nie dało dziewczynce kosztować swobody tych szczęśliwych lat dzieciństwa bez troski, które mimo sieroctwa było jej udziałem. Czy ta nad wiek głęboka uczuciowość była skutkiem poetyczności jej duszy, czy raczej przez koncentrowanie się sercem w sobie poetyczność tę rozwinęła? Młodziuchna Florcia

czuła zarazem bardzo żywo piękność natury, a wychowanie na wsi rozwijało to w bardzo szczęśliwy sposób. Lubiła samotne z przyrodą obcowanie, oddalone kąciki ogrodu nęciły ją, marzyła w nich jak sierota; mrokiem, wśród nocy księżycowych zdawała się czuć przy sobie przytomność duchów ukochanych i przywołać potem na myśl lat owych wspomnienie, dziwiła się sama, jak się to u niej mieszało zawsze z wrażeniami natury. Uczucie jej i poetyczność przechodziły te same fazy co młodocianość ludzkości: panteistycznie zaludniała przyrodę duchami.

Oddaną została na pensyę do Sakramentek, który to zakład naukowy używał w owych czasach opinii bardzo dobrej szkoły dla dziewcząt i o której ona sama zachowała wspomnienie mile i przychylne. Nauki były prowadzone podług owoczesnych programatów dobrze; nie egzaltowano umysłów uczennic nadmiernymi praktykami religijnymi i w tym kierunku nie przechodzono poza zakres zwykłego, bardzo pobożnie prowadzonego wychowania. Ale zdrowiu dziewczęcia zaczęło szkodzić zamknięcie w murach zakonnych i zmieniono jej szkołę; oddano ją na pensyę p. Czajkowskiej, że przytem dziadkowie jej przenieśli się na stały pobyt do Warszawy, już kończyła nauki w ten najlepszy sposób, który nie oddziela młodego dziewczęcia od ogniska rodzinnego.

W tych czasach ja poznałam: śliczną, jasnowłosą modrooką pannę. Takiej obfitości jak najpiękniejszy len jasných włosów nie widziałam nigdy, ani przedtem, ani potem; była przytem białości, delikatności lilii, choć nie była to bynajmniej postać eteryczna. Przeciwnie była pełna, rozwinięta niemal silnie i jak w jej naturze moralnej, mimo wielkiej poetyczności, skłonności do smętnego rozmarzenia się, tkwił pierwiastek czynności, działalności praktycznej, tak powierzchowność łączyła w sobie harmonijnie niezmierną delikatność barw i tonów z bujnym rozwojem zdrowej młodości. Wielka pogoda malowała się

w jasných niebieskich oczach; miły, słodki, pełen łagodności uśmiech zdobił usta i ten sympatyczny wyraz dobroci przetrwał u niej lata, pozostał pociągającym ku niej wdziękiem do końca.

Pierwsze słowa, jakie do mnie przemówiła, były, że dar poezji jest wielkiem, bardzo wielkiem szczęściem. Zapytałam: czy zna dzieła Żmichowskiej? a otrzymaawszy odpowiedź, że nie, najpierw więc radziłam jej, aby poznała je jak najprędzej, bo znajdzie w nich skarby piękności, potem dodałam, że się spotkała z Gabryelą w pojęciach. I tanta utrzymywała także że poezya to coś, co jest szczęściem, które jednak może być — nieszczęśliwem!

I jej młoda istota już to potwierdzała; przez poetyczność swej natury duch jej rwał się wyżej, serce jej czuło tklawiej, silniej, goręcej odbierała wrażenia i miała już uniesienia żywsze od innych dziewcząt jej wieku: żyła pełniej, piękniej, ale i cierpiała mocniej — dostało jej się w życiu szczęście nieszczęśliwe.

Dorosłość jej wypadła na chwile pełne wzruszeń, niepokojów i przewrotów ciężkich. Brała to wszystko do serca i w serce głęboko; rozwinęło się w niej uczucie namiętne, które nigdy nie ochłodziło i głównie pod jego siłą wyrobiła się na szlachetnie piękną, szlachetnie podniosłą kobietę. Majątkowe jej położenie było dostatnie, otoczenie jej przedstawiało tradycje cichego domowego istnienia młodej panny, której życie może dopiero rozbudzić się do jakiejś działalności szerszej z chwilą wyjścia z domu, ale ona przez wielką, gorącą miłość społeczeństwa swego, przez wielkie, gorące uczucie obywatelskie nie mogła wytrwać w takim istnieniu spokojnie ograniczonym do zajęć w kółku rodzinnem jedynie. Coś robić dla ogółu, coś mu przynosić, coś z siebie dla jego dobra poświęcać: oto była myśl jej dni i nocy, to było pragnienie jej serca tak silne, że przepartem zostać nie mogło. Przecież drugostronnie cała jej istota była doskonale, była

wskroś kobiecą, więc też nie wrywała się w sfery działania gwałtowne, na jego trakty nowe i torowania dopiero potrzebujące; ubite a wazkie ścieżyny tak rozszerzyły, że stawały się drogą życia piękną i nieciasną; to było jej sztuką, jej umiejętnością życia rzadką, czasem podziw budzić mogącą. I teraz też oglądając się dokoła, znalazła dla szlachetnych potrzeb swego ducha ujęcie dobre, które jednak nie wrywało jej z otoczenia rodzinnego. Uczyć—to znaczy przelewać myśli swoje i uczucia w inne umysły i serca ludzkie, to przygotowywać krajowi osobistości wedle pojęć i pragnień naszych, to kształcić i rozświecać, to spełniać posłannictwo ogromne, posłannictwo święte, jeżeli będzie wykonywane z poświęceniem, i szlachetna dusza młodej Florentyny zapalała gorącą chęcią nauczycielstwa, zawodu mozolnego, a przez praktyczne swe strony sprzeczącego się właśnie z tym polotem poetycznym, który posiadała; a gdy dodamy do tego, że nie popychała jej w tym kierunku potrzeba materialna, zabiegi o byt powszedni, praca na chleb, musimy uznać w tem niepospolitą podniosłość i ofiarniczość ducha, wyższość natury pięknej.

Dla przeprowadzenia zamiaru swego musiała w dodatku walczyć z przeszkodą wielką bardzo. Wychowanie jej naukowe było średnie. Dopełniała go sobie czytaniem, książką, ale tylko w kierunkach pewnych: literackich, historycznych; teraz zaś gotując się do zawodu nauczycielskiego, musiała zwracać się pracowicie poza siebie, kształcić w kierunku nowym; sumienna w rzeczy każdej, tu stała się aż skrupulatną: a że jeszcze przechodzić było trzeba examina w języku, którego musiała również uczyć się dopiero, praca była ogromna. Męczyła się, spędzała nocy bezsenne i nawet powierzchowność jej poczęła to okazywać, delikatne lica traciły świeżość, przyciemniony blask oczu dowodził zmęczenia. Zlekąłem się o nią i wypowiedziałam jej szczerze obawy moje, ale nspakajala je.—Nie mogę tak żyć bez celu—mówiła—nie mogę.... Tęby mnie męczyło gorzej i zabiło prędko na duchu i ciele.

Myśl tego użytku, jaki miała nadzieję osiągnąć przez nauczycielstwo, świeciła jej gwiazdą przewodnią. „Miłość wszystko może“ i ona też zdolała dopiąć swego. Examina jej na ochmistrzynię wyższą dały wypadek świetnie wyjątkowy i jeden z nauczycieli naszych, który w skład komisji egzaminacyjnej wchodził, mówił mi potem, że examina z pedagogii, przedłużano o wiele nad zakres, taką była przyjemność słuchania jej rozumnych i szlachetnych poglądów, popartych, gruntowną i rzadką u kobiety, filozoficzną znajomością przedmiotu.

Można powiedzieć, że od tej chwili zeszyły z jej duszy wszystkie mroczące ją cienie cichych smutków i tych nieokreślonych, nieograniczonych tęsknot, którem muszą podlegać podobni jej ludzie, gdy los nie daje im w życiu zadowolenia serdecznego. Wypogodniała i rozweseliła się w sobie, zmęczenie ustąpiło i rozkwitła nanowu; mówiłam jej nieraz żartem, że teraz układa nawet piękniej, powabniej swoje przeogromne, nic z latami nieciemniejące warkocze i usmiechała się na to.—Może być—mówiła—jestem teraz jakgdyby w spokojnym a bardzo pięknym domu—zbudowałam go sobie właśnie i cieszę się nim.

Do najpiękniejszych a charakterystycznych jej rysów należało to, że nowy dom jej życia nie burzył dawnego. Nabywając, nie traciła, a rzadka ta sztuka pochodziła u niej z uczuciowości jej miłosnej natury. Umiała czekać, umiała być przez serce cierpliwą i zdobywać sobie łagodnie, powolnie, przekonywać miłością. Wielokrotnie nazywają ludzie energią śmiałość i bezwzględne kroczenie do celu, będące bardzo często zimnem i twardością serca, które poza siebie nie patrzy, zrywa bez żalu węzły dawniejszych związków i spieszy naprzód, nie zważając co zdepcze po drodze. Czy to cnota? Dla mnie cnotą jest dopiero taka energia delikatna i łagodna, jaką posiadała ona. Tak umiała sobie ułożyć życie, że rozpoczynając je na własną rękę, nie zerwała z rodziną, nie wydzieliła się z niej, choć tu patrzano na zawodową jej pracę nie zupełnie chętnem okiem. Ale podbiła sobie, zwyciężyła przesąd tkliwą siłą miłosnego

przekonywania, i nie ona wyszła dla pracy z rodziny, ale rodzina zrobiła jej przy ognisku swoim takie miejsce, aby mimo tej pracy pozostać tam mogła. Zakład jej naukowy dla dziewcząt istniał pod bokiemi dziadka, ciotka jej i razem przyjacielka, p. Konst. Raczyńska przychodziła jej w niejeden z pomocą dobroliwą i dlatego przejście jej życia w okres nowy nie wystawiło jej na próby bolesne osamotnienia, które przebywać musi większość kobiet, szukających pracy samodzielnej.

A praca ta, pojęta wzniosle, dawała jej tak szlachetne zajęcie umysłu i serca, że stała się dla tej duszy czystej poezją czynu. Tkliwe, smętne, cechą wyższego aryzmu naznaczone poezye, podpiswane: „Marya Jadwiga“, które *Bluszcz* od czasu do czasu zamieszczał, lecz których większość nie drukowaną pozostała, przestały teraz płynąć zpod jej pióra. Z początku robiłam jej wyrzuty, że przeniewierza się natchnieniom młodości, ale później w rozmowach poufnych, doszłam do przekonania, że to nie materialna strona pracy pochłania ją, ale zawód umiłowany tak zadawałnia, że wciela w niego wszystko, co przez tęsknotę i miłość wzruszało poetycznie śpiewne struny jej serca i rozgrzeszyłam ją.—Idź ty duszo w pokój cichym tą drogą życia, która jest dobrą i piękną—rzekłam sobie.

Każdy rok pracy na czele coraz bardziej rozszerzającej się szkoły był dla niej rokiem obywatelskiej zasługi. Wszystkie swe uczennice, tak pensyonarki jak przychodnie, umiała dziwnie przywiązywać do siebie, a przywiązywała je to, aby przenikać duchem swoim. Każda przejmowała od niej troskę tego obywatelskiego uczucia, że należy jej koniecznie coś robić dla ogółu. Nie jedna wcieliła już w życie szlachetne to poczucie się do powinności, i zasłużonym też był wieniec, który od tak zacnie wykształconych przez nią istot młodych na trumnie jej złożono.

Przecież mija już rok, jak szkoła ta istnieje przestała. Gdy życie jej uzupełniło się małżeństwem, gdy została żoną profesora Włoszka i ukazało jej się w przyszłości zadanie macierzyństwa, zwinęła ją. Żal jej był taki, że widziała lzy błyszczące w oczach na wspomnienie konieczności uczynienia tego, ale pojmowała tak wysoko i jedne i drugie obowiązki: obowiązki nauczycielstwa i obowiązki kobiety w rodzinie, że nie śmiała łączyć ich razem, aby nie uchybić któremukolwiek z nich.

Umarła niespodziewanie, zostawiając czterogodniowe dzieciątko, odeszła w połowie lat swoich, wtedy właśnie, gdy życie mogło jej przynieść najśłodsze uśmiechy szczęścia. Na grobie jej płynęły lzy rzeczywistego żalu, towarzyszył jej orszak liczny szczerze życzliwych i umiejących cenić zasługi, które można nazwać wielostronnemi, bo doliczyć do nich należy i ten wpływ towarzyski, jaki wywierała w koło siebie. To coś słodkiego, dobrego, serdecznego, które objawiała w stosunku każdym, tak jednemu dla niej ludzi, że osoba jej stała się zwoła punktem środkowym znacznego kółka; wytworzyła się z jej uczennic i ich rodzin, znajomych, niby kolonia przyjaciół, do której przyłączył się zastęp ludzi rozumnych i jej salon, ale nie—raczej miły, wesoly, gościnnie otwarty pokój bawialny—stał się miejscem, gdzie upływały ludziom przyjemnie i nie bez korzyści chwile, przeznaczone na odpoczynek po pracy. Takie ognisko towarzyskie stworzyć, to też zasługa i nie mała, gdy ją pojmiemy przez wpływ odejmujący płochości i bezmyślnej elegancji.

Prócz wdzięcznych poezji lirycznych, z których najpiękniejszą wydaje mi się *Rezygnacja* (*Bluszcz* z 1870 roku Nr 41), do prac jej literackich należy przełożona z angielskiego, do *Bluszczu* również, powieść: *Zastępca*. Bohaterką jest tam kobieta podobna temu, czem ona była: kochająca, poświęcona i zawód nauczycielski obierająca sobie na szczęście i obowiązek życia. Ale tam była to nauczycielka ludowa, i ona, już ochmistrzyni szkoły wyższej, gdy to w czasie wakacyjnego odpoczynku przetłumaczywszy, oddawała mi rękopisem do druku, rzekła:—Ludzie się nie raz skarżą, że nudno i smutno na świecie, a tu przecież tyle, tyle jest różnych dróg do szczęścia, do działania, i oto choć mi jest nie źle w życiu, choć mi dobrze z tem, com wzięła dla siebie; tłumacząc, doznawałam prawie

żalu i tęsknoty, że nie stała się tem, czem ta odważna Angielka. Uczyć lud!... ach, co to za pole!...

Modre jej oczy tak jaśniały promiennie, taki był w nich blask żywy, jakgdyby marzyła w tej chwili o królowaniu nad państwami niewyczerpanych bogactw i skarbów zaklętych, że też aż usmiechnęła się mimowoli.

—Co za pole do szczęścia, do wielkości, do dostojności niezmiernych—rzekłam wesoło—lecz ona niezrozumiały nawet, że żartuję, odpowiedziała zupełnie poważnie:—Och! tak... co za pole do tego wszystkiego...

Entuzjastka szlachetna, pojmowała szczęście, wielkość, dostojność przez dobro, spełniane ofiarniczo i niech też teraz światło wiekuiste otoczy jej czystego ducha.

Marya Ilnicka.

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

O życiu panny Semmel niewiele co kto wiedział. Widywano ją samą jedną na terrasie, po kawiarniach i na przechadzkach, a czasem z którym z artystów, bo młodzi szczególnie się nią łatwo zajmowali, a ona nie odpędzała nikogo. Stara, zniechędziała matka, którą żywiła, nie mieszała się wcale do jej życia. Prowadziła je, jak chciała. Kilka razy zdawało się, że wyjdzie za mąż; ona sama mówiła o zaręczynach, potem zawsze się to jakoś rozchodziło, a dobry humor panny Semmel nie tracił na tem.

Ludmiła w początkach trochę była zrażona jej śmiałością, szyderstwem i obejściem się mężkiem. Potem oswoiła się z tem i znajdowała ją zabawną.

Właśnie w tym czasie, gdy wycieczki w góry były na widoku, panna Semmel więcej niż kiedy zaczęła się zbliżać do Ściborzanki. Chociaż szyderski wyraz z twarzy jej nigdy nie schodził, układała się nieco do poważniejszego nastroju Ludmiły, okazywała jej pewne poszanowanie.

Jednego dnia, przyszedłszy zasiąść z chlebem swym na spoczynek przy Ludmiłę, odezwała się śmiejąc:

—Słyszę, że pani chcesz się wybrać do Szwajcaryi, na studia! Mnie to niepotrzebne, bo ja, nigdy nic własnego nie myślę robić, ale należą mi się ferye. Gotowabym na dni kilka pójść z panią. —Doprawdy?—spytała Ludmiła zdziwiona nieco.

—Wistocie—odparła p. Semmel,—z tą „Głową starca“ Rembrandt'a, trzeba czekać aż podeschnie, nie mogę jej doprowadzić do czarność takiej, jak oryginał. Nawet studenci mają wakacje i ja-bym się trochę potrzebowała przewietrzeć.

Mówiąc, to, zukosa złośliwie spoglądała na stojącego obok Apolda, który—zdawał się z nią być w porozumieniu.

—Wcale dobra myśl—zamruczał, bo p. Semmel zna okolice, a jest tak rezolutną, że sobie da rady wszędzie.

—Ja? bieda mnie nauczyła—paplała Florchen, zającąc wesoło. Lada co mnie nie ustraszy, kląć się potrafię i z biedy męczyznę zastąpię.

To mówiąc, podparła się w boki, nastroiła marsa i nie bez pewnego oryginalnego wdzięku cygańskiego, przybrała męską postawę.

Ludmiła się usmiechnęła.

—A co? słowo daję—mówiła Florchen—jedźmy, ale, pani musisz mnie wziąć na swój koszt, bo ja ledwie tyle mam w kieszeni, co kucharce dla matki zostawić trzeba. Za to nie potrzebujesz się pani bardzo troszczyć o przeżywienie moje. Para kufelków piwa, dobry kawałek chleba z masłem, a jeśli dodasz sałatę kartoflaną ze śledziem, najem się dosyta.

Cóż? zgoda? jedziemy?

Ludmiła, niedługo się namyslała, przystała.

Apold powinszował tej towarzyski Ludmile.

— Z nią będziesz pani zupełnie uwolnioną od wszelkich kłopotów w podróży—rzekł—nie znam praktyczniejszej istoty nad p. Semmel.

— No—i dodaj, profesorze—przerwała mu śmiejąc się, że niema nademnie lepszego kolegi i usłużniejszego...

Spojrzała nań znacząco. Apold odszedł.

Umowa więc stała, by obie artystki jechały statkiem do wioski leżącej u stóp Bastei, a ztamtąd z przewodnikiem pieszo czyniły wycieczki. Restauracya na wierzchołku góry miała im służyć za główną kwatere.

Panna Semmel zdawała się być uszczęśliwioną tą wyprawą, a radość jej tłómaczyła się łatwo tem, że jednostajną pracą była do zbytku i oddawna znużona; trzpiotała się jak student wypuszczony ze szkoły.

Ludmiła także była rada, że to co dla nauki uważała za niezbędne, doprowadzi do skutku. Semmel gotową była bawić z nią choć tydzień cały.

Apold nie wspominał wcale o tem, aby i on miał jakiś udział w wyprawie. Dopiero na statku, gdy już odbijał od brzegu, Ludmiła postrzegła zdaleka malarza, który, z pewnem zakłopotaniem zbliżywszy się do niej, oświadczył, że na jakiś dzień wybrał się także w góry.

Z twarzy Ściborzanki mógł poznać, iż nie rada temu była. Nie odpowiedziała mu nic, a Semmel, postrzegłszy to wrażenie, zaczęła żartować, przesładując profesora sobą, że chyba nie mogąc na tak długo się z nią rozstać, rzucił wszystko, by gościć za nią.

— To jednak nadaremne umizgi—dodała—bo jak pan wiesz, ja po raz trzeci jestem zaręczoną, i mojego Kurta za nic w świecie nie zdradzę.

Kurt, był to stary garbus, który w galeryi obrazy olejne do albumów przerabiał na akwarelle. Z pewnych względów była to para dobrana, gdyż oboje pracowali, nie troszcząc się o sztukę—na handel. Kurt, posiadający równą wprawę jak Semmel, jeszcze od niej był mniej szczęśliwy i uboższy. Arnoldowie i Richtery kupowali u niego wprawdzie kolorowane madonny, ale płacili licho, i kopista wiecznie im był dłużnym.

Dla rozpedzenia złego humoru Ludmiły, profesor użył środka już doświadczonych wielokrotnie: zaczął mówić o sztuce. Piękne brzegi Elby i rozsiadane nad niemi wille i ogrody dostarczały treści. Dzień był słoneczny, pogodny, a przechodzące chmury tworzyły cienie, rzucając obrazy, które się do studiów nadawały. Wskazywał je Apold bardzo trafnie i napozór niemi tylko był zajęty.

Ludmiła słuchała go wprawdzie i patrzyła; lecz twarz jej okazywała, że myślała gdzieś indziej.

Professor i dwie panny zajmowali miejsca w pierwszej klasie; statek był przepełniony. Wsiadano i wysiadano i czas podróży bardzo szybko upłynął. Semmel na statku już pokrzepiła się piwem i z apetytem zajadała butersznytę.

Ciągle dobrym swym humorem i konceptami zabawiając milczącą Ludmiłę, gdy przyszło drapać się malowniczą dróżką pod górę, Semmel tak się jakoś obrachowywała, ażeby albo wybiegać przodem lub pozostawać z tyłu, a Apolda samego z Ludmiłą rzucać. Ściborzanka jednak czyniła co mogła, aby jej nie dać odbiegać od siebie i profesorowi dać poznać, iż towarzystwo jego nie zdaje się jej właściwem.

— Pani jesteś dla mnie prawdziwie nielitościwą—odezwał się poruszony mocno Apold, w jednej z tych chwil, gdy Semmel, puściwszy się naprzód, samych ich znowu pozostawiła.—Nie chcesz pani widzieć i uwierzyć, że jestem z jej przyczyny najnieszczęśliwszym.

Nigdy jeszcze artysta nie ośmielił się mówić tak jasno. Ludmiła zarumieniona, pomieszana milcząca chwilę.

— Nie rozumiem pana—odezwała się.

— Tak, bo mnie pani rozumieć nie chce—odparł z wyrazem namiętnym Apold. Sądziłem, że to uczucie, które pani wzbudziłaś we mnie, nie będzie potrzebowało wyrazów, by się stać zrozumiałem.

Ludmile biło serce, lecz chwila wybrana do tych oświadczeń, pewne posądzenie, iż Semmel domyślała się go i była w spisku, zatrwożyło ją i zmieszalo.

— Pani nie masz litości nademną!—dodał.

— Mam dla niego największy szacunek, największą wdzięczność, nie wątpisz o tem—szepnęła Ściborzanka.

— Szacunek! wdzięczność!—począł Apold, usiłując rękę jej pochwytać, którą żywo cofnęła. Są to uczucia, które mi oplać się nie może.

Zdała słyhać było szyderskie hukanie Semmli. Ludmiła szła ze spuszczoną głową, przestraszona i niepewna co ma odpowiedzieć, gdyż własne uczucie dla niego, jasnym dla niej nie było—gdy—szczęściem z tyłu dały się słyszeć śmiechy. Nadsięgnęła podróżni. Ludmiła, aby nie pozostać samą z Apoldem, rzuciła się gonić Florę, a na zakręcie drogi ukazał się z dwoma innymi towarzyszami idący o kiju, z węzełkiem na nim, Sitko.

Zjawiał się w samą porę. Ściborzanka stała i zdala pozdrowiła go, postanawiając pociągnąć z sobą. Apold, blady, odstąpił, nieco i zaczął iść powolniej. Sitko, jakby zrozumiał, iż mógł tu się przydać na co, towarzysząc swych pożegnał i podbiegł, gdzie go wzywano wzrokiem.

Ludmiła czekała na niego.

— Jest to mój najdawniejszy w Dreźnie znajomy—odezwała się do Apolda z pewną dumą—ponieważ panna Flora nie dotrzymuje nam kompanii, mam ochotę zabrać mojego współziomka, aby nam było weselej.

— Pani przekładasz towarzystwo jego nad moje?—spytał cierpko profesor.

— Nie, ale on nam też użytecznym być może—rzekła surowo Ludmiła.—Apold zamilkł.

Na górze, na którą się wdrapała, ponad głowami ich ukazała się Semmel, chustką powiewając i śmiejąc się złośliwie.

— Professorze—wołała—nie tęsknij za mną zbyt mocno. Czekam tu na ciebie z sercem bijącym.

Na tę apostrofę Apold odpowiedzieć nie raczył, spojrział na nadchodzącego Sitkę, głową skinął i zostawiając go z Ludmiłą, sam szybkim krokiem puścił się pod górę.

— Cóż to się wam stało!—powitała go nadchodzącego Florchen, hę? Widzisz, profesorze, że spełniłam życzenia, dotrzymałam umowy, zostałam cię samnasam z twą piękną uczennicą. Miałeś jej czas powiedzieć?

— Nadszedł ten niezdar!—wykrzyknął Apold, w dół wskazując.

— A! Sitko! znam go—zawołała—w dół patrząc Semmel. Postaram się i od niego ciebie uwolnić—ale jakże ubóstwiana? zawsze taka okrutna?

Apold ruszył ramionami.

— Nie rozumiem jej,—mruknął—czy mówią co innego, a co innego usta.

— Słuchaj oczów!—rozśmiała się artystka, a na usta nie zważaj! Dziwną—bo też masz fantazyę: kusić się o najniebezpieczniejsze zdobycze. To przecież dumna polska szlachcianka.... Z nią ci jak z innymi twymi ofiarami nie przyjdzie łatwo.

— Dajże pokój tym szyderstwom nieznosnym—przerwał Apold.—Oto nadchodzą. Cicho!

Semmel, zobaczywszy Sitkę, obie ręce wyciągnęła ku niemu.

— A! witam kolegę!—zawołała ku niemu.—Nigdy pożądanym być nie mogłeś, bo ja, wybrałam się bez pary, a nas dwoje doskonałą będzie. Wycieczka *solo* nieznośna. Biorę cię w rekwizycję, kolego!

Sitko kwaśno się uśmiechał.

— Patrzajcie—mówiła dalej Florchen.—Myślałam, że klęknie przedemną uniesiony, a przyjmuje moją ofiarę tak zimno.

— Bom ja ostygły już człowiek, szepnął krzywiąc się profesor—i nie czuję się godnym.

Ludmiła wtrąciła się do rozmowy, zmuszając do weselości.

— Wiesz pani co—rzekła—złożymy dwie pary dobrane, gdy pani zostaniesz wierną profesorowi, a mnie dasz mojego współziomka. Spojrzała na Sitkę znacząco i szepnęła popolsku:

— Nie odchodź pan i nie porzucaj mnie.

Towarzystwo po tym krótkim epizodzie, połączone w jedną grupę, zwolna znowu ku Bastei się

wspinało. Dawni Sitki kolledzy, których on opuścił, pominęli go i żywszym krokiem wyprzedzili.

Semmel szła teraz obok profesora, który gryzł laskę w zębach i chmurno na nią spoglądał.

— Nie masz szczęścia—szepnęła szyderska Semmel do niego. Ale cierpliwości! Sitko nie może ciągle być z nami—będzie musiał powracać. My nocujemy na Bastei.

Mrugnęła nań oczyma przymkniętymi i zaczęła podśpiewywać.

Zaledwie przybywszy na górę, dla pozbycia się Apolda i niedawania mu już sposobności do nowych zaczepk, Ludmiła natychmiast siadła rysować. Professor poszedł pod dach i kazał sobie dać piwa. Semmel opanowała Sitkę.

— Wiesz—rzekła—przyglądając mu się śmiało—wiesz—doprawdy, nie masz zupełnie fizjonomii artysty. Ktoby w tobie poznał ucznia profesora Ritschla. Gdybym nie wiedziała, że masz talent, wzięłabym cię za krawca.

Sitko się rozśmiał.

— Wistocie do niczego podobniejszy nie jestem—rzekł—ale natury nie przerobić.

— Owszem—zawołała Florchen,—włosy—bys zapuścił długie, kapeluszył w wielkich skrzydłami i pozbył się zbrukanego surduta, mieniając go na aksamitny przyodziewek, hę! hę! zaraz—bys wyglądał inaczej.

— I, cóż z tego?

— Co z tego? mogłaby się w tobie jaka artystka zakochać. Wszakże miłość daje natchnienie.

Spojrzała na zbiedzzonego chłopaka i rozśmiała się.

— Patrzaj—rzekła, nachylając mu się do ucha—żebyś mi Apoldowi nie przeszkadzał! Rozumiesz: przybył tu umyślnie dla dania lekcji uczniocy.

Uśmiech jej sarkastyczny chciał wywołać odpowiedź. Sitko się skrzywił tylko.

— Tego co on uczęć myśli i co najlepiej umie—odparł powoli—podobno uczennica nie zechce przyjąć od niego.

Spojrzenie, którem zmierzył Florę, ostre, prawie pogardliwe, zmieszało ją i zarumieniło. Odwróciła się i odeszła, coś mrużąc.

Ludmiła sama jedna już rozpoczynała rysunek, ale oczy jej nie widziały, ołówek drżał w ręku; oglądała się strwożona. Szukała w myśli sposobu: albo pozbycia się towarzystwa Apolda, lub powodu dla przyspieszenia powrotu do miasta. Siedziała zadumana, zwracając album coraz inaczej, oczy coraz gdzieś indziej, gdy spostrzegłszy Semmelę, nagle myślą jakąś uderzona, skinęła na nią.

— Słuchaj—rzekła do niej głosem drżącym.—Uczyn mi tę łaskę i idź odemnie w poselstwie. Wybierając się w góry, wcale nie przewidywałam, ażeby profesor miał nam towarzyszyć. Po dług moich pojęć i obyczajów jest to nieprzyzwoitem.

Semmel udała niezmiernie zdziwioną.

— Może to dziwactwo—mówiła dalej Ludmiła może to śmieszność; ale ja go proszę, aby powrócił do Drezn, lub—ja sama dziś wracam natychmiast. Florze zdało się, że może spróbować poprzeć sprawę artysty.

— A! a! zawołała.—W naszym życiu między artystami niema takich śmiesznych purytanizmów!

Cóż w tem dziwnego! Jawna to oddawna rzecz, że Apold się kocha szalenie.

Ludmiła groźnie spojrzała na nią.

— Może mnie nie uznasz godną imienia artystki—rzekła—lecz ja, choć nią być pragnę, żadnych płochych miłostek, choćby były w waszym obyczaju—nie rozumiem.

Semmel ruszyła ramionami.

— Dzieciństwo!—zamruczała.—Professor jest miły, przystojny, rozumny. Wiele od niego nauczyć się można. Czemuż—bys uśmiechając mu się i będąc dlań powolną, nie miała go sobie pozyskać? Wodziłabyś go na pasku, a potem, gdyby się stał niepotrzebnym, dałabyś odprawę.

Z oburzeniem przerwała jej Ludmiła.

— Proszę pani, idź i spraw poselstwo moje.

Skrzywiona i nadąsana Semmel, odeszła.

Sitko, który zdawał się czekać na to tylko, ażeby Ściborzankę samą mógł widzieć, zbliżył się do niej szybko, z twarzą jeszcze brzydszą i dziwniej wykrzywioną niż zwykle, krokiem niepewnym,

z niezgrabnością, którą w nim każde silniejsze poruszenie powiększało.

(Dalszy ciąg nastąpi)

OBOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dalszy ciąg).

Na wygnaniu, które nastąpiło 1301 r., Dante napisał nieśmiertelne swe dzieło: *Komedya Boską*, a całe Włochy uznały arcydzieło, które czytali i uwielbiali wszyscy. Stało się też pragnieniem ogólnym, aby powrócił do Florencji, gdzie przecież dom jego został wydany na rabunek i zburzenie, a on sam skazany zaocznie na stos — na spalenie żywcem. Pod naciskiem życzliwych mu wynaleziono możność powrotu. Był we Florencji stary zwyczaj ulaskawiania zbrodniarzy w dzień Świętego Jana Apostoła, tego który „kochał najwięcej,” trzeba było tylko, aby przestępca, zdając się na łaskę i niełaskę, oraz przyznając się do winy, stawiał się sam przed władzą wykonywającą sprawiedliwość. Przyjaciele Danta dali mu znać, że może użyć bez obawy tego środka powrotu do miejsc rodzinnych, ale jego oburzył upakarzający sposób ulaskawienia. — „Nie! zawołał — jeżeli to ma być jedyna droga powrotu do Florencji, Florencja zatem nie ujrzy mnie nigdy. Czyż słońce i gwiazdy nie świecą wszędzie, czyż gdziekolwiek pod niebem nie znajduję miejsca, aby rozmyślać nad słodką prawdą, nie stając przed ludem Florenckim obnażony z chwały mojej, a okryty poniżeniem?” I nie wrócił — umarł w Rawennie, wygnańcem, tułaczem, który przez lat dwadzieścia nie widział stron rodzinnych, i tęsknił do nich, opisując w słowach boleści pełnych, jak męczące są dla nóg tułacza wschody domów cudzych, jak gorzkim jest chleb wygnania. Ale wytrwał przy swoim, nie nazwał zbrodnią tego, co uznawał w sobie za cnotę, nie zaparł się przekonania, dla których według słów poety naszego, „za życia przeszedł przez piekło” i pozyskał na wieki, nie już nieśmiertelność wielkiego poety, ale wielkiego obywatela swego narodu, wielkiego człowieka.

Upłynął wiek z górą wśród walk, nędzy, ciężkich szamotań się Włoch z obcymi, i rwanie się w samych sobie. Ucisk ludu był cięższym niż kiedy, bo coraz wyższymi stawały się zbytki i samowola możnych, upadek idei moralnych i wśród takich smutnych okoliczności wystąpił na scenę Girolamo Savonarola, urodzony w Ferrarze 1452 roku. Był on niemal koniecznością swego czasu: czasu zepsucia, bo był protestem ludzkości szlachetnej przeciw rozpasanej, żadnym pojęciem cnoty, obowiązku nie hamowanej ludzkości; rządzącej się jedynie prawem mocniejszego, podstępniejszego, zręcznej, silnej łup swój chwytającego. Usuwano sobie z drogi przeszkodę mordem gwałtownym, lub zbrodnią skrytą, niewinność cierpiała, zło było jawnem, publicznie spełnianem, bezwstydnem, i w Savonaroli znalazł się mąż odważny, który wystąpił przeciw temu, Syn rodziny szlacheckiej, choć niezamożnej, miał przed sobą otwartą drogę wyniesienia, bo rodzina jego posiadała przywilej przystępu do dworu Ferrarskiego, a nawet ojciec był dworzaniem księcia. Matka przecież, kobieta silnego charakteru i podnioslejszego ducha, zapragnęła dla syna innej przyszłości, zawodu niezależnego i postanowiono, aby został lekarzem, ale gorąca dusza entuzjasty wyrwała się w kierunku innym. Zamiast studiować medycynę, Girolamo oddał się badaniom filozoficznym, rozbił pismo Ś te, pisał o S-tym Tomaszu z Akwinu, aż w dwudziestym trzecim roku życia rzucił dom rodzicielski, i z małym węzełkiem najkonieczniejszej rzeczy na plecach, powędrował do Bolonii, zapukał do klasztoru Dominikanów z prośbą, aby go przyjęto na braciszka posługującego. Przepuszczono go do nowicyatu, i wtedy napisał do ojca, dla czego obiera sobie życie zakonne: „Dla

wielkiej nędzy świata i nieprawości ludzkich.“ „Nie mogę znieść niezmiernej złości zaslepionego Ludu Włoskiego, a to tem więcej, że widzę wszędzie cnotę w pogardzie, a zbrodnie w uczczeniu“ pisał i prosił ojca o błogosławieństwo. Otrzymał je w końcu; przełożony klasztoru poznał też w nim zdolności niepospolite, i uczynił najpierw nauczycielem w nowicyacie, a wkrótce potem kaznodzieją zakonu. Były to czasy straszne: książę Mikołaj d'Este został gwałtownie zamordowany w Ferrarze; książę Galeazzo zabity w Medyolanie w kościele; książę Guiliano Medici w Katedrze Florenckiej w chwili podniesienia hostyi, i Savonarola z zapalem występował, nie tylko przeciw zbrodniarzom, ale przeciw możności, która dopuszczała, aby się stali takimi; przeciw osłabieniu praw i karności publicznej. Kazał kolejno w Ferrarze, w Bresciji, w Pawii, Genui, aż na koniec, już trzydziestoletni, po siedmiu latach pobytu w klasztorze Dominikanów Bolońskich został posłany do klasztoru Dominikanów we Florencji i wystąpił na pole swej chwały i męczeństwa.

Stało się to w chwili najwyższej potęgi i blasku Wawrzyńca Medyceusza. Savonarola szedł do Wenecji pieszo, szedł powoli, czas jego drogi nie był ograniczony i błędził też dowolnie za tem pragnieniem zanurzenia się w naturze, zmieszania się z cichym ludem wieśniaczym, którego musiał doznawać on, będący wojującym członkiem kościoła, karcącym głosem gniewu Bożego. Przebył najpierw wzgórze Lugano i rzucił wzrok w tył po za siebie: po za Bolonią i te okolice Włoch Północnych, których nie miał już nigdy oglądać; potem przebywał nagie i czarne wyżyny Apeninów, i spuściwszy się z biegiem wód Arno, stanął dopiero u bram „Miasta Kwiatów“ — miasta rozkoszy i sztuki, u bram Florencji a snadź w cichych chwilach samotności i wytehnienia dojrzał ostatecznie i zmęźniał na duchu, bo oto głos nieznanego mnicha rozległ się tak potężnie w kościele dominikańskiego klasztoru S-go Marka, że cała Florencja drgnęła zadziwiona. Kto on jest, że śmie jej rzucać z wyżyn ambony swojej takie surowe słowa groźby, że wzywa do pokuty i poprawy? Villari pisząc o ówczesnej Florencji, tak się o niej wyraził: „Sztukmistrze, literaci, politycy, szlachta lud popolity, wszyscy byli zarówno zepsuci i pozabawieni cnoty, tak prywatnej jak publicznej. Religia sama była narzędziem w rękach rządu, lub nędznej hypokryzji; nawet niewiera nie istniała w stopniu zarliwości, zimna obojętność na zasadę wszelką panowała ogółowi.“ A tu nowoprzybyły ostro smaga ten ogół biczem pałacej wymowy! Piękność, znaczyła we Florencji wszystko, a Savonarola był w dodatku brzydkim: średniego wzrostu, krępy i barczysty, rysy miał ostre i nieregularne, szoroki nos orli, usta duże, a już w dwudziestym trzecim roku, czoło jego było zorne bruzdami myśli ciężkich. Ksiądz inny; uczony, gładkiego języka abbate, przyjaciel Wawrzyńca Wspaniałego, wystąpił jako przeciwstawienie surowego karciciela, i kwiecistym stylem, w który odziewał subtelności teologiczne, pociągał do siebie tłumy, gdy Savonarola kazał wśród pustego kościoła. To jest nie było w nim ścisłu wykwinnego towarzystwa, lecz tylko gromadka ludzi ubogich, gromadka ludzi laknących prawdy religijnej i moralnej, a po za cieniem filarów, to tu, to tam, jakie wyniosłe czoło myśliciela, jakie smutne oblicze patrioty, bolejącego nad stanem Florencji: ale dla Savonaroli było to dość. Siał ziarno swoje wytrwale, był przytem jak w Bolonii nauczycielem w nowicyacie, przysposabiał Florencji kapłanów sobie podobnych i zadawałniał się tem lat: rósł w sile i wpływie nieznacznie, zwolna. W 1490 roku, czyli w ośm lat po przybyciu do Florencji, już to jest głos grzmiący, który z Duomo, katedry, rozlega się po mieście całym i wzrusza tysiące. Każę przeciw zbytkom i niemoralności obyczajów, podnosi się nawet przeciw sztuce — zmysłowej, upajającej sztuce i wzywa tłumy, aby otrząsnęły się z letargu, uczuły w sobie wyższe potrzeby, zwróciły myśl ku celom innym.

Teraz już sam Wawrzyńiec Wspaniały musi się liczyć z tą potęgą, posyła do Savonaroli pięciu obywateli Florencji, aby mu przedstawił, że może ściągnąć na siebie i klasztor swój niebezpieczeństwo, ale on odpowiada im, że wie od kogo przy-

chodzą i każe im powiedzieć temu, który ich przysłał, aby żałował za grzechy i gotował się na sąd Boży, przed którym może mu przyjdzie stanąć niedługo. Medyceusz przysyła klasztorowi bogate dary, ale to nie zmienia rzeczy. Savonarola zostaje przeorem zgromadzenia i każe o wolności woli ludzkiej. Entuzjasta ten nie jest jednak marzycielem, nakazuje tłumom, aby drogi ziemskie były torowane ziemskimi środkami, i woła, że Bóg pomaga tylko tym, którzy sami chcą pomagać sobie. Bóg jest tylko z czynnymi, z tymi, którzy kochając dobro, pragną je sobie zdobyć, z odważnymi, a nadewszystko ze zgodnymi, z połączonymi ze sobą ścisłym węzłem jedności. Prawdę uważał Savonarola za jedną z najwyższych cnot człowieka, za jeden z najwyższych obowiązków obywatela: „Jest to dług, który każdy uczciwy człowiek winien jest swemu sąsiadowi — nauczał — Wyznanie prawdy jest treścią sprawiedliwości.

On też był takim wyznawcą prawdy i czuli to nawet jego nieprzyjaciele. Gdy Wawrzyńiec Wspaniały uczuł się ciężko chorym, uczuł, że umiera, zapragnął aby on, a nie kto inny rozgrzeszył go na wielką drogę do wieczności. Savonarola nie ociągał się z posługą i przyjął spowiedź, w której chodziło o spalone i wydane na łup rabunku miasta, o strugi krwi rozlanej, o miliony wydarte niesprawiedliwie. Gdy spowiadający się grzesznik czuł niepokój i trwogę, Savonarola mówił mu, że Bóg jest litościwy i przebaczący, uspakajał, łagodził przerażenie przed otwierającymi się bramami zaświata, ale miłosierdzie Boże i rozwiązanie z grzechów przejść tylko mogły drogą jedną i jedyną: za zwrotem tego, co było źle posiadaniem, co zostało nieprawnie przywłaszczonem. Samego ukorzenia się nie było dość; żal bez restytucji — to obłuda. „Oddaj to nietwoje, coś wziął“, powtarzał spowiednik, a chodziło tu o prawa Ludu Florenckiego. Umierający odwrócił się i milczał; ksiądz podniósł krzyż i czekał, aż po chwili milczenia wyszedł, i Lorenzo de Medici skonał, nie uwolniony z ciężaru swego.

Syn jego, Piero, uchodził już wtedy za człowieka okrutnego, ale Savonarola był „wyznawcą prawdy.“ Był nim, gdy pod Alexandrem Borgia podnosił głos przeciw bogaceniu się i pompom wystawnym sług Chrystusowych, a skoro nadeszła ciężka dla Florencji godzina, gdy miasto, z którego Piero za zdradę kraju uchodzić musiał, broniko się obcym, Francuzom, on stanął na wyłomie w szeregu jego obrońców, walcząc bronią kapłańską, to jest podtrzymując i zagrzewając duchy. Gdy przecież siła nieprzyjacielska przemogła, a on wybrany został między innymi do wyjednania od króla Francuzkiego łagodnych warunków zajęcia miasta, szedł ten posłaniec narodu pieszo. Inni, uważając się za ambasadorów, jechali karetami, on, jako ksiądz i zakonnik, więc ten, któremu godzi się pozostać zawsze ubogim i pokornym, szedł pieszo z krzyżem tylko w rękę. Król go przyjął, dał mu posłuchanie, które choć nic nie przyniosło, ale on spełnił posłannictwo swoje z szlachetną godnością kapłana Bożego.

I tak, w czasie ciężkich klęsk, które spadły na „miasto kwiatów“, w czasie obłędzenia i głodu, a głównie w czasie zarazy nie ustąpił nigdy z pola pracy i najwyższego poświęcenia, a przecież ten lud, dla którego dobra wydawał się cały, odstąpił go, przeciągnięty zręcznie do obozu innego i 23 maja 1498 Savonarola został spalony na placu publicznym przed Palazzo Vecchio a prochy jego rzucono w błękitne wody Arno.

Sądzono go jako burzyciela i kacerza; on przecież do ostatniej chwili przeczył tym zarzutom, za których upozorowanie Signoria miasto dała adwokatowi Ceccomo czterysta dukatów. Drogo zapłacono wynalezienie wina w tym sprawiedliwym, który poprzednio przeszedł trzykrotnie badanie z torturami. Umierało z nim razem dwóch wiernych jego akolitów, Dominikanów: brat Silvestro i brat Domenico, którzy poprzedzili go na stos. Śmierć nastąpiła bardzo prędko, bo Savonarola wynędzniały już był i wychudły, prochów pozostała tylko garsteczka maleńka. Kłamstwem było to, co mu zarzucano jako księdzu i katolikowi, bo do końca istnienia pozostał wiernym temu wyznaniu wiary i ślubom swoim, pościł tak gorliwie,

że przy trudach ciężko pracowitego życia doprowadził się przez to do niemocy, do omdlewania; stał też silnie przy wierze w transsubstancjację, więc kościół protestancki nie może zaliczyć go pomiędzy swoich i Villari wykazuje to na mocy aktu jego processu. Jak Hus, wołał on tylko o poprawę obyczajów w rozpuszczonym klerze, o zachowanie zasad miłości i poświęcenia ewangelicznego, i padł też jako ofiara tych złych, których chciał poprawić: padł zarazem poświęcony względem politycznym, którym przeciwstawiał zasadnicze prawo chrystyanizmu. Życie tego ofiarnika to najszczytniejsza i zarazem najokrutniejsza tragedia istnienia tak czystego i podniesionego nad egoizm, że na osobiste szczęście człowieka nie zostało tu wziętem z używania ziemskiego tyle nawet, co jedno ziarenko makowe. I to rzeczy znane, i to nie nowy przykład odwagi, wytrwania, niezachwianej nigdy siły ducha; przeciw dobrze uczynił autor *Obowiązkowi*, że postać tę wmieścił między swoich: „Hero-martyrs“. Dziś jeszcze duch Girolamo Savonarola zdolnym jest rozgrzewać serca i podnosić umysły, zagrzeźle w małościach trosk samolubnych, w pospolitych zabiegach jednostkowego bytu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencja zagraniczna.

Wiedeń, w Lutym 1881 r.

Słowianie w Austrii odzyskują prawa. — Literatura Spasowicza. *Noc letnia* w przekładzie Blumenstoka. — Uroczystość Lessinga. Teatr. — Burgtheater. — Wykłady: Dr Holub. Mgławice. — Świat roślinny, ornamentyka. — Dziennikarstwo w Ameryce. — Karnawał. — Czem są bale tutejsze.

(?) Na pierwszym miejscu należy mi zapisać wielki tryumf, jaki w ubiegłym miesiącu odniosła tutaj wolność i prawa narodowości słowiańskich. Na posiedzeniu kommissji budżetowej Rady Państwa p. Conrad-Eybesfeld na zapytanie dotyczące sprawy czeskiego uniwersytetu w Pradze, złożył następujące oświadczenie: Rząd uznaje uprawnione żądanie czeskiego narodu, ażeby mu przyznane zostało używanie zagwarantowanego w ustawach zasadniczych państwa prawa kształcenia się w ojczystym języku przez wszystkie szkoły włącznie z uniwersytetem. Rząd uznaje także, że przez chwały godne postępy czeskiej literatury i uprawę nauk w ostatnich dziesiątkach tego wieku, jak niemniej przez uznania godne powodzenie osiągnięte przez znaczną liczbę synów tej narodowości, którzy w ostatnich czasach uzyskali kwalifikacje na katedry uniwersyteckie, poczęści już daną, poczęści utorowaną została możność, ażeby tym uprawnionym żądaniom zadosyć się stało. Oświadczenie to jest ważną zdobyczą, nie tylko dla Czechów, ale dla wszystkich Słowian w Austrii, z których dotąd tylko Polacy cieszyli się uprawą nauk w ojczystym języku, oraz uznaniem ojczystego języka za urzędowy w szkole, urzędach i sądach. Im więcej zdobędzie gruntu i wkorzeni się równouprawnienie narodowości, tem pewniejszym będą prawa każdej z nich. Czesi otrzymają uniwersytet czeski w Pradze, a teraz już powstaje coraz większa liczba szkół średnich z językiem wykładowym ojczystym. Powoli nawraca Austria na drogi sprawiedliwości, gdyż nareszcie zwyciężyło przekonanie, że tylko samodzielny rozwój każdego odrębnego kraju jest zdrową polityką, której skutkiem jest stopniowe odradzanie się i wzmocnienie całego państwa. Nietylko bowiem rząd nie potrzebuje zużywać sił swoich na trzymanie na uwierzy skrupowanych krajów, ale przeciwnie kraje te w miarę, jak się wyzwalają z obcego, germańskiego ucisku z całą wdzięcznością siły swoje ofiarowują. Zaczynają się też zwolna i w samym Wiedniu rozbudzać żywioły słowiańskie; urządzono wspólny wieczór (Akademia) i bal na wsparcie Zagrzebian. „Ognisko“ polskie wzrasta w sympatyj ogólniej, tak, że stowarzysze-

nie ruskie „Sicz“ postanowiło połączyć się z niem. Zachodzi wielka potrzeba, żeby wszyscy bawiący w Wiedniu Słowianie austriacycy do tych stowarzyszeń należeli, i żeby pomiędzy nimi liczniejsze i ściślejsze nastąpiło obcowanie, przez co jedynie wobec niemieckich stowarzyszeń urosną.

„Literatura ludów słowiańskich Pypina i Spasowicza“ w niemieckim wydaniu, doznała tu już ze strony dwóch pism, *Deutsche Zeitung* i *Tribune*, pochlebnego ocenienia. Dr Blumenstok (Krakowianin, radca ministeryalny) znany z prac poznajających Niemców z naszą literaturą, wydał przekład wyborowy *Nocy letniej* Krasińskiego, a p. Lipiner tłómaczy *Pana Tadeusza*.

Wobec ruchu narodowego Słowian w Austrii, Niemcy, dotychczasowi jedyni hegemonowie i dzierżyciele władzy, grają rolę ofiar pokrzywdzonych, krzyczą, że germanizm w niebezpieczeństwie, nawet uroczystości na cześć Lessinga nadali charakter polemiczny i obrony przed najeźdźcą Słowian. Zapominają, że tylko Słowianie Austrią od Turków ocalili, a teraz także tylko Słowianie dźwigają ją z niemocy, w którą ją nienawistni i zaślepieni apostołowie ucisku germańskiego przez długie lata i na długie lata pogrążyli, gdy wszystkie siły jej naturalne, narodowe, tłumili i nie dla państwa, ale dla siebie korzyści władzy wyzyskiwali.

Pomijając tę stronę zaborczą i hypokrytyczną uroczystości, była ona piękną i zasłużoną. — Prawde głosiły przygodne strofy: „Lessing wam (Niemcom) dał tę mowę, którą mówicie, on was natchnął odwagą do wolności (myśli) którą oddechacie i do dążenia za prawdą. On zwiastował Dioskurów, Schillera i Goethego, jak zorza słońce; on jak bóg piorun rozproszył mamidla i pozrywał więzy; on stworzył dramaty; od niego zawiął świeży powiew, i lud, który był utracił swoją odrębność i świadomość, znowu się poczuł w swojej wartości. On zapalił światło, walcząc diamentową klingą słowa. On nowych Niemiec jest współtwórcą“.

W teatrze odegrano dwie sztuki Lessinga: *Natan mędrzec* i *Emilia Galotti*. Oprócz tych przedstawień zapisać jedynie można wznowienie „Henryków“ Shakespeare’a, w teatrze zaś Karola, gdy Nestroy okazał się świeżym i pociągał, rozpoczął się cały cykl innych, dawniejszych poetów ludowych: Raymunda, Kotzebuego, bo nowych nie ma. Utwory tych autorów są zdrowe, rodzime, pomysł tego cyklu jest też dobry, a przytem ratuje teatr przed pustkami i wyzwała go z banalnych i śliskich fars francuzkich. Warto zanotować ten fakt; może to u nas kiedy się przydać na co.

Teatr dworski tutejszy jest pierwszą, jak wiadomo, sceną niemiecką. Ogłoszono jego statystykę, która podaje nauczające fakty. Od r. 1772 do 1880 najwięcej przedstawień uzyskały następujące sztuki z kolei: „Hamlet“, „Wiele hałasu o nic“, „Szkoła obmowy“, „Don Carlos“, „Otello“, „Marya Stuart“, „Intryga i miłość“, „Minna von Barnhelm“, ... potem naprzemiany z klasycznymi sztuki ludowe — więc Shakespeare i Schiller, przeważnie, potem Lessing i Kotzebue; Goethego niema prawie, a francuzkie sztuki, lubo każdą lepszą dają, nie dochodzą nigdy do licznych przedstawień. Uderza brak Goethego, i w ogóle publiczność temi liczbami udowadnia zamiłowanie do repertoaru poważnego, do prawdziwej poezji.

Pomimo karnawału w nocy, spania w dzień, pomimo ślizgawki, pomimo, że wszelkie lokale publiczne zawsze są przepełnione, niemniej pełno jest zawsze na wykładach publicznych. Jest ich codziennie kilka, a przeważną część publiczności tworzą zawsze kobiety, pomimo, że często osnowa wykładów niebardzo jest pojętną i przystępną. Trudno wyliczać te wykłady, a streszczać ich niepodobna. Już to podróże, astronomia, przedmioty z nauk przyrodniczych bardzo są lubiane. Dr Holub, Czech, opowiadał dwa razy w swoich podróżach po Afryce, a towarzystwo wywozowe nagromadziło dla niego całą wystawę okazów towarów, które mogą mieć odbyć w Afryce. W tym też celu dr Holub znowu się tam wybiera. Mój Boże, co to za różnica! Dr Reman też same po-

dróże odbywał, opisał je ze znakomitą wdzięką, prostotą i bogactwem szczegółów — ale któż się tem zajmuje?

Niedawno odkryta ziemia podbiegunowa: Franciszka Józefa, jest już przedmiotem badań, które o 14 stopni dalej się posunęły, niż dotarła ostatnia ekspedycja. Opowiadał o tem Lemonier w klubie naukowym. Opisywał wzrost handlu morskiego z Syberyą, wyprawy rossyjskie do Białego Morza, działalność stacyj meteorologicznych i t. p. Prof. Weiss mówił o mgławicach, których już 6000 naliczono. Są to najbardziej od nas oddalone gwiazdy stałe, systemata gwiazd, tak jak nasz system słoneczny. Odległości są tak ogromne, że promień światła od tych mgławic na przebycie drogi do naszego oka potrzebuje miliardów lat. Analiza spektralna dociekając składu tych ciał, wykazała, że mają one atmosferę — „lecz, dodał prelegent: czyliż my widzimy ciała te takimi, jakimi one są dzisiaj? Widzimy je takimi, jakimi były przed miliardami lat, kiedy promień dziś nas dochodzący od nich wyszedł. Tymczasem mogły tam zajść niezbadane rewolucje“. Badania te potrącają o nieskończoność.

Zajmujący był wykład prof. Knerera w Muzeum: „Świat roślinny i sztuka ornamentacyjna“. Objawy świata roślinnego, uważane jako działanie bóstw, n. p. płodność ziemi, uosobili Egipcjanie w Izydzie, a symbolizowali ubierając ją w kłosa pszeniczne. Rośliny, którym zmiany powietrza nie szkodzą, uważano za ulubione bogom i stały się świętymi symbolami. Tym sposobem wprowadzone zostały rośliny w sferę religijnych wyobrażeń. Forma używania roślin przy religijnych i świeckich uroczystościach bywała rozmaita. Zwykle używano tylko niektórych części, liści, kwiatów. Noszenie bukietów z kwiatów nieznanne było w starożytności, powstało dopiero w epoce barocca. W świecie klasycznym główną rolę grały wieńce. Dzisiaj utrzymał się wieniec tylko dla panny młodej, na groby i trumny i w bardzo rzadkich okolicznościach. Ustał bukietowi, którego rozmiary dzisiejsze krępują swobodne, wdzięczne ruchy rąk. Festony i girlandy pochodzą także z czasów klasycznych. W krajach nad Nilem pozostał zwyczaj zasypywania dróg i całych miejsc kwiatami i liśćmi. Ten zwyczaj wywołał kobierce kwiatowe w ogrodach na wschodzie. Potrzeba było jednak nie-trwałe ozdoby ze świeżych kwiatów zastąpić inną materją, a gdy jej raz użyto, odtąd ornamentyka ciągle się rozwija w miarę materiału, który jest pod ręką, w miarę wyobrażeń i *mody*. W wyrobach z kamienia, drzewa i gliny (w ceramice) przychodzą przeważnie owoce, gdyż nadają się do plastycznego wykończenia, natomiast w wyrobach metalowych — liście i kwiaty. Ozdoby kwiatowe na dywanach pochodzą, z niepamiętnych czasów; na sukniach dopiero w Średnich Wiekach się pojawiają. Najpóźniej zaczęto używać papieru i tkanin. Pierwsze sztuczne kwiaty sprzedawano w Wiedniu w r. 1580; w XVII w. były już powszechnie używane. Na ornamentach architektonicznych spotykamy zwykle otaczającą naturę miejscową, lecz w północnej i środkowej Europie nie znajdujemy prawie swoich motywów, ale brane z południa i wschodu. Pochodzi to zapewne stąd, że tam była kolebka sztuki, ztamtąd szedł wpływ i utrzymał się.

Naczelnik biura inseratów Mosse mówił o dziennikarstwie amerykańskim. W „Bluszczu“ pisze o niem właśnie Sygurd Wiśniowski, więc tylko niektóre podam szczegóły. Bez dwutygodników, miesięczników i ćwierćroczników wychodzi w Ameryce 9,000 pism codziennych w 3,540,000 egzemplarzach, 8428 tygodników w 13,511,000 egz. Samych pism peryodycznych jest 804 w 3,626,000 egz., razem 10,000 pism w 21 milionów egz., roczny obieg (2,000,000,000) dwa miliardy egz. Jest to trzecia część pism całej kuli ziemskiej. Z pism amerykańskich wychodzi 15 w języku *czeskim*, 2 w polskim, liczba nieangielskich przeważa, religijnych 380, humorystycznych 600. Pierwsza gazeta pojawiła się r. 1690 p. t. *Public Occurence*, druga 1704 także w Bostonie *News letter*. Prassa jest w Ameryce zupełnie wolną, nawet Kongres nie ma prawa wydawania ustaw ścieśniających tę wolność. Nie opłaca też prassa żadnych podat-

ków, stempli i t. p. Główną atoli przyczynę rozwoju prasy widzi prelegent w chciwości ludu, z jaką pożąda oświaty, nauki i wiedzy o sprawach publicznych, w których każdy bierze udział. Najpiękniejsze pałace w wielkich miastach są redakcyjne. Dochody też dzienników są olbrzymie; dosyć przypomnieć wyprawy do Afryki, urządzone przez nowojorskiego *Heralda* i setki tysięcy płacone za telegramy. O ciemnych stronach prelegent zamilczał.

Wystawę obrazów w Kunstverein, na której pojawiło się kilka nowych utworów, zostawiam do następnego listu, gdyż należy się jeszcze wzmianka karnawałowi. Urzędownie się on skończył, lecz faktycznie trwa aż do 1 maja, aż do pierwszej defilady powozów w Praterze. Wiedeń bawi się zapamiętałe, ale tylko na t. z. kreuzchen, na swobodnych maskaradach i specjalnych wieczorach.

W Künstlerhaus urządzono wieczór *wenecki*. Cały dom przedstawiał Wenecję z wszystkimi urządzeniami, a publiczność grupy ludowe; brał udział: Makart i całe towarzystwo, które u niego w domu w historyczne maskarady się bawi. Dwiecipy sądzą się na wymysły, aż do przesady; urządzono nawet „Lumpenball“, z nagrodami dla najcenniejszych gałganiarzy. Zato bale „d'élite“ są tylko tłumem, męczącymi procesjami i wystawą strojów. Najświetniejszy bywa bal w „Concordia“, towarzyszytwe literatów i dziennikarzy. Zdaje mi się, że nasza publiczność nie zniosłaby takiego niby-bal. Sala olbrzymia, orkiestrą dyryguje Strauss, lecz tylko na kawałku sali tańczą pary publiczności podrzędniejszej; reszta siedzi na estradach, na galeryach i łóżach, i patrzy, od przedpokoju zaś aż do środka sali wyciągnięty szpaler męczyczyn, którzy, a nieraz i kobiety, stoją od godziny 9 do dwunastej czekają i patrzą na wchodzące panie, a co ważniejsza, na dygnitarzy, poetów, ministrów, bankierów. Po skończeniu defilady część tańcząca odzyskuje całą salę. Ale cóż to za taniec! Żaden bal nie ma początku, bo nieznają poloneza, który jest naturalną introdukcją, który z tłumu wytwarza towarzystwo, ożywia je stopniowo, zapoznaje i miesza, ochotę do ruchu i zabawy obudza. Zaczynają od razu od walca, więc też na tej klasycznej ziemi walca idzie on wcale niesporo, bez zapалу i bez żadnego względu na muzykę; zgrabność w tańcu jest wyjątkową, latają lub podskakują — to nie walc. Potem naprzemiany walc, polka, kadryl, i znowu to samo. Niema tego, co stanowi szczyt tańca, a zarazem zabawy, niema mazura; Niemcy nawet kroku mazurkowego wyczyć się nie mogą. Zato wielki kotylion ma być zenitem kunsztu „arranżerów“. I cóż to jest? Wielka menażerya, albo nudne wojskowe marsze. Zaczyna się od walca, potem aż do końca każda figura odbywa się przy muzyce polki trzęsącej, a figurę od figury dzieli zamęt, wydobywanie przyborów, strojów, orderów, chorągiewek, wrzawa komend, że tancerki ledwo stoją od znużenia. Zrobiono z kotyliona coś niby nakształt naszego drabanta, tylko, że bez poloneza i marsza, bez humoru i bez różnorodności. Nie zdarzyło mi się widzieć umiejętnego kierowania wieńcem setnych par, tak, żeby i dla nich był ruch przyjemny i dla patrzących widok wspaniały, jak to u nas bywa w mazurze, w kotylionie i w szóstej figurze kadryla. Słowem, wielkie bale tutejsze nie mają właściwego toku, wdzięku, zabawy, nie są wcale towarzystwem, ani salonem, lecz tu je sobie chwala. Tylko trzeba wiedzieć, że o 2-jej godzinie już po balu, a połowa gości udaje się, albo na wesołe kolacje do innych lokali albo na zabawy małe, gdzie panuje już szalony walc — i piwo.

RUCH MUZYCZNY.

Cudowną jest zawsze potęga muzyki! Przez tyle lat brzmia nam w uszach te same dzieła, tylekroć ich wykonanie licze powinny je nam nie-

znosnemi uczynić, a jednak rok-rocznie, pomimo narzekania i ubolewań, idziemy słuchać z przyjemnością tych samych oper i koncertów, i nieraz wystygła napozór wrażliwość budzi się w nas z dawną, niepowstrzymaną siłą. I bez tego życia ruchliwego, pełnego wrażeń, jużbyśmy się i obejść nie mogli, a prawie z politowaniem spoglądamy na nielicznych wprawdzie, ale nieraz i rozumnych ludzi, którzy muzyce żadnego wpływu cywilizacyjnego przyznawać nie chcą.

Ferdynand Hiller, znany muzyk, dobry kompozytor, przyjaciel i rówieśnik Szopena i Mendelssohna, wydał świeżo broszurkę (zdaje się że to odczyt) p. t.: „Jak słuchamy muzyki?“ W rozprawie tej słusznie powiada, że muzyka i jej czary, wszędzie człowiekowi towarzyszą, nawet mimo jego woli. Podczas gdy zamknąwszy oczy, możemy się stać nieczułym na wdzięki malarstwa lub krajobrazu, gdy przez oddzielenie się od świata, zapomnieć prawie możemy o literaturze, muzyka wszędzie nas odnajdzie, i nawet w skromnej celi zakonnika, nawet w więzieniu, odszuka człowieka, zapuka do jego duszy i... najczęściej dobre znajdzie przyjęcie.

Tylko zbyt wyłączone hołdowanie muzyce naganem być może, jak wszelka wyłączość zresztą; szkodliwym jest trawienie czasu na pracy nad muzyką, gdy się niema do niej talentu; szkodliwym również, przy talencie, poświęcanie się jej tak wyłączenie, aby inne kierunki duchowe zaniedbać. Słuchając nieraz gry znamienitych nawet pod względem techniki wirtuozów, mimowoli chęć nas bierze zajrzeć do wnętrza ich duszy, zapytać, jakie też myśli w nich budzi wykonywana przez nich muzyka, czy wiedzą co grają, i jaką potęgę posiadają, mając dany od Boga dar odtwarzania. Szczególniej w wykonywaniu wszelkich temp wolnych, w Adagiach np. Beethovenowskich, w Nokturnach Szopena, odróżnisz od razu inteligentnego artystę od rzemieślnika, poetę od prozaika.

Zpomiedzy artystów, którzy ostatnimi czasami dali się słyszeć w Warszawie, przed wszystkimi silnie wrażeń na nas wywarł Hollman wiolonczellista, którego gra przy znakomitym mechanizmie, czaruje głębokością i uczuciem. Jakże cudnie wyśpiewał on żydowski temat Kol-Nidra w układzie Brucha! Słuchając początkowego recitativo, zdawało się, że słyszymy i wyrazy. Aby mózż dokładnie wyśpiewać swą duszę w instrumente, potrzeba oczywiście znać wszystkie jego tajniki i właściwości. Otóż pod tym względem Hollman jest mistrzem, i z tego powodu wydobywa z wiolonczelli efekta, o których się nie śniło innym wirtuozom. Naprzykład jego pianissimo, jakże jest czarujące, jaki przy niem ton okrągły! I Poorten z wielką gra expressyą, i on często używa piana — ale ani jego mechanizm nie stoi na wysokości zadania w trudniejszych ustępach, ani pianino brane jakoś bokiem smyczka, niema tej szlachetności dźwięku. Hollmann raz tylko dał się słyszeć, i to przed pustymi krzesłami (było to na jednym z koncertów Dyrekcji Teatrów, które najnieśluszniej tak są mało popierane przez publiczność), a wielka szkoda, że nie spróbował dać własnego koncertu; lubo szkoda może raczej dla nas, cośmy go słyszeć pragnęli, niżeli dla samego artysty, który przy karnawałowym szale, jaki w Warszawie do niedawna jeszcze panował, byłby musiał może do koncertu dołożyć.... To też w czasie tego, świetnej pamięci karnawału, gdzie kostiumy uginały się od brylantów, biedni koncertanci ciągle musieli odkładać „na później“ swoje występy....

Innym artystą inteligentnym i nie pozbawionym świętego ognia, jest Józef Wieniawski, znany nasz fortepianista, który tylko w przejeździe przez Warszawę dał się słyszeć na innym znów dyrekcyjnym koncercie. Gra Wieniawskiego nie porwya nas wprawdzie w jakieś nadziemskie strefy, nie unosi do zbyt wycieniowanym językiem namiętności, jest bowiem na to za obrachowana; ale jest-to gra szlachetna, wiele wykończona, świadcząca, że artysta duchem zespała się z mistrzami, których wykonywa. Koncert A moll Schumanna był zagrany pomistrzowsku, i z tą nieporównaną jasnością, która jest jednym z głównych przymiotów gry Wieniawskiego. Akcent, u Schumanna tak często potrzebny dla uwydatnie-

nia jego kapryśnych rytmów, użyty był w Finale z taką precyzją, że cały ten ustęp wybornie się wyrzeźbił. Expressya miejsc rzewniejszych w pierwszym Allegro była taka, że coś więcej pragnąc, byłoby już żądać, aby artysta grający z orkiestrą, wpadł w czułość, co podwójną-by było wadą. Słowem, tak pięknego studium, jakim był ten koncert Schumanna, dawnośmy już nie słyszeli. Inne numera tego wieczoru nie odznaczały się może niczem bardziej wybitnem, lubo zasługuje na chlubną wzmiankę, piękniejsze niż dawniej odegranie nokturnu *G dur* Szopena, zaś na szczere słowo krytyki waryacje Händla, których zagranie ze zbytniem użyciem pedału, fatalny robiło efekt.

Ponieważ weszliśmy już na temat koncertów dyrekcyjnych, wspomnijmy jeszcze o dwóch skrzypkach, którzy w nich wzięli udział. Że nie ściągnęli publiczności, wina to Sarasata, który nas tak rozbałamucił, że po jego grze, żadnego już skrzypka słuchać nie chcemy; ale mimo to, obaj ci skrzypkowie, lubo w różnym stopniu, sympatyj naszych byli wari. Leopold Auer, to już mistrz wytrawny, o stylu pewnym, wyrobionym, o pełnej świadomości dróg swoich — spokojny, szlachetny, nie zimny, ale i nie namiętny, celuje w muzyce klasycznej, w śpiewie elegijnym, w delikatnem cieniowaniu.

Pan Viardôt, syn znakomitej śpiewaczki, ma pewną szerokość stylu, zapewne nabytą pod wpływem wzorowego śpiewu matki, ale jest bardzo chłodny i jeszcze próbujący dróg swoich. Pod względem mechanizmu zadziwił nas w kilku miejscach swą sprawnością. Słowem, młodzieniec-to wielkich nadziei, spełniać się już poczynających.

O koncercie własnym p. Pawła Schlöttera, fortepianisty, nie da się nic wybitnego powiedzieć. Pan Schlötzer posiada piękny mechanizm, który mu dozwala z dość zawilich nawet trudności wyjść zwycięsko, choćby tempo zbyt szybkim było. Tej swobody swych palców, używa i nadużywa artysta; palce te latają po fortepianie zbyt samodzielnie, nie radząc się głowy i serca, i ztąd gra artysty niemiłe w ogóle sprawia wrażenie. Jest to jakby zmarnowanie darów Bożych, jeśli mając tak dużo środków, nie korzysta się z nich w sposób właściwy. W grze p. Schlöttera nie widzimy planu, głębszej myśli, — żadna nie sympatyczna nie tworzy się między jego grą a nami. W rzeczach czysto mechanicznych, artysta może jednak odnieść tryumf zupełny, czego dowodem była świetnie zagrana nad program, własna etiuda (es dur). Obie te etiudy (Op. 1) są bardzo piękne i świadczą, że i w kierunku twórczości nie brak wysokiego uzdolnienia p. Schlötzer'owi — tylko życzyć-by należało skupienia, pracy z wytkniętym celem, nie zaś ulegania ciągłego zbyt krewkiemu temperamentowi.

A cóż porabia Towarzystwo Muzyczne? — spytasz może czytelniku. Mówię: może, bo zwykłą swą obojętnością na losy tej instytucji dajesz dowód, że cię ona mało obchodzi. Na zebrania ogólne przychodzi po kilkadziesiąt osób, w składkach, czytelniku, zalegasz. Wprawdzie przynajmniej, że do usprawiedliwienia twej obojętności znalazłyby się niektóre przyczyny, ale... płacić zawsze trzeba, a to grunt.... — Otóż w odpowiedzi na pytanie — odpowiem lakonicznie: — Towarzystwo *żyje*, co jest już bardzo wiele, jak na ciężkie próby, z którymi mu łamać się przychodziło ostatnimi czasami.... żyje i żyć nadal ma nadzieję. A źle było z nami rzeczywiście! Gdy na Zebraniu Ogólnem (nadzwyczajnem) odbytem w Listopadzie roku zeszłego komitet przedstawił rozpaczliwy stan Towarzystwa, zaprawdę, myśleliśmy, że w niedalekiej perspektywie ukazała nam się postać spisującego nasze krzesła.... komornika.... Obecnie, jak sprawozdanie roczne wykazuje, straszliwa ta sytuacja chwilowo, zapomocą oszczędności, zażegnana została. Deficyt, jakkolwiek wielki (1,852 ruble), nie wyczerpał jeszcze do dna środków Towarzystwa, i byle lat parę energicznej i budzącej ogólne zaufanie Dyrekcji, może byt Towarzystwa być ocalonym. Sposób, w jaki nowy Dyrektor p. Noskowski, bierze się do dzieła, dobrą budzi otuchę. Wieczory zaczynają być liczniej nawiedzane, w programmatach widać staranność, znajomość rzeczy; chór prowadzony z wi-

docznem do rzeczy zamiłowaniem, robi postępy— wytrwałości tylko potrzeba, a nowa Dyrekcya będzie mogła rozwinąć obszerniej plan, który zdaje się już z dotychczasowych działań przeświecać. Najtrudniejszą sprawą oczywiście będą wielkie koncerty, które dla podniesienia moralnej powagi Towarzystwa, zdają się być niezbędne, a jednak dotąd przynosiły deficyt tylko. .. Trzeba więc niepospolitej zręczności w ich układzie, aby i artystyczną ich stronę przedstawić z godnością, i budżetu zanadto nie przekroczyć.

Opera włoska, wbrew zwyczajowi, w tym roku dała nam kilkanaście wieczorów nadzwyczaj przyjemnych. Wprawdzie, w całym składzie tegorocznej trupy są, jak i dawniej bywało, braki wielkie. Zważywszy jednak, jak trudno jest i w znaczniejszych stolicach o dobry zupełnie komplet, możemy być wyrozumiałymi, i raczej cieszyć się z tego co dobre, niżeli narzekać na to, co słabsze, lub czego niema. Nowości mieliśmy jedną ale dobrą, a mianowicie: operę *Mefistofele* przez Arrigo Boito; opera ta, przedstawiana kilkanaście razy, zawsze licznych i zadowolonych znajdowała słuchaczy. Basista Castelmari, w niej śpiewający rolę tytułową, jest artystą niepospolitym—szkoda, że w innych jego kreacjach przebija najczęściej ten sam typ demoniczny—to bowiem nie dozwoliło mu się wybitniej w innych operach odznaczyć. Z kobiet mieliśmy dobrą dramatyczną śpiewaczkę, Rumunkę pannę Teodorini; głos jej rozległy, równy, bogaty w efekta na nutach niskich, brzmiał zarówno korzystnie w kontraltowej partii *Faworyty*, jak w *Balu maskowym* i *Żydówce*; artystka śpiewa nadto z przejęciem, a lubo nie zachwyca, jest w każdym razie godną śpiewać z najpierwszemi artystami, którym ich natchnienia nigdy nie zepsuje. Pani Singer, jako soprano dramatico, wykazała głos już zużyty pod względem brzmienia, za jaskrawy, nieraz tremolujący i bardzo często krzykliwy — w *Mefistofelu* dobrą, w innych operach, w powodu wyżej wymienionych niedostatków, a także z powodu ciężkiej koloratury, nie mogła się podobać. Soprano leggiero, panna Gloser, węgierka, uczennica pani Marchisio z Wiednia, ma głosik cienki jak szpilka, którym w tonach wyższych, począwszy od sol. kłufa nas nieraz w uszy, wyrobienie jednak głosu jest ładne i nieraz słuchaliśmy tej artystki z prawdziwą przyjemnością. Baryton, p. Storti zachował jeszcze niektóre zasoby swego pięknego głosu. Znany nam również pan Aleni (Olenin) był użytecznym gdy pana Storti'ego nie było, tenor Bertini w małych rolach znośny, w wielkich forsował niemilosiernie. Ale też za wszystkich śpiewał precudownie i pomistrzowski stary Naudin. Kto nie słyszał tego artysty, ten nie uwierzy, że w tej 63-letniej piersi tkwi, oprócz świętego ognia, i głos prawdziwy, głos którego nie wszystkie może dźwięki jednakową odznaczają się metalicznością, ale który ma szlachetność, siłę, cieniowanie, umiejętność i sprawia wrażenie olbrzymie. Trzeba istotnie metody bardzo znakomitej, a zapewne i rozumnego w młodości życia, aby w tak późnej starości mózg tak zachwycać, jak Naudin. Opowiem wam zresztą, szanowne czytelniczki, moje własne wrażenia. Pierwszy raz teraz słyszałem Naudin'a w „Faworycie“. Czy artysta był nieusposobiony, czy partya mu leżała nie w głosie, dość, że przez cały wieczór wydało mi się tylko, że artysta, nie mając już głosu, śpiewa „metodą“ i daremnie czyni wysiłki, aby resztki swej sławy ocalić od upadku. Wyznaję, że po tym niefortunnym wieczorze powiedziałem sobie: „Nie dam się już więcej skusić i... nie pójdę raz drugi“. W heroicznym tem postanowieniu wytrwałem... cały tydzień. Dano potem „Żydówkę“. Wszystkie pisma codzienne podniosły jednoznaczny chór uwielbień, jak cudownie, jak nieporównanie Naudin śpiewa partję Eleazara. Nie pomogło to jednak — myślałem (wyznaję to bijąc się w piersi: „mea culpa“) że się mylą, że musi w tem być wiele przesady, etc. I byłbym może w tem niedowiarstwie umarł (a więc w stanie śmiertelnego muzycznego grzechu) gdyby nie jedna z was, piękna czytelniczki (a czegoż wy nie potraficie!) która, przybywszy do Warszawy, gwałtem prawie wyciągnęła leniwego sprawozdawcę do Wielkiego Teatru. Je-

dnej frazy w pierwszym akcie było dosyć, aby nas zachwycać, oczarować: *ex ungue leonem*. Plez w tę cudną frazę artysta włożył boleści, ile piękności głosu wykazał w tych kilku nutach! Od tej chwili zrozumiałem kto jest Naudin i po wysłuchaniu całej opery, uchyliłem czoła z szacunkiem przed wielkim artystą, należącym do tej ginącej już prawie szkoły mistrzów metody i stylu. Na Paschę w drugim akcie możebym się nawet niekoniecznie zgodził, w śpiewie żyda brzmiała tam więcej surowość niż namaszczenie — ale ten nastrój był widocznie rozmyslnym; i sposób jego wykonania głosem otwartym (voce aperta) godzien był pochwał najwyższych. Andante: „Rachelo, kiedy Pan“ śpiewał i frazował N. tak precudownie, że pragnąłbym zamknąć tę arję w mikrofonie i słuchać jej codziennie. W Allegrze trochę jednak był już zmęczony. Później słyszałem Naudin'a we wszystkich operach, jak w „Afrykance“, w „Balu Maskowym“, „Fra Diavolo“: wszędzie znalazłem go na wysokości zadania — naprzemiany tklwym, wesołym, namiętnym, słowem takim, jakim rola go mieć chciała. Gdy w „Balu Maskowym“ rozpoczynał kwintet w 2-gim akcie, tak czarująco połączył śmiech z frazesem muzycznym Ricarda wyrażającym wesołe lekceważenie życia, że na każdym przedstawieniu, publiczność trzy razy pragnęła tę frazę słyszeć, zanim pozwoliła kwintet dalej wykonywać. A stary mistrz nigdy się prosić nie dał, i serdecznie, pocziwie, zawsze powtarzał to, o co go proszono.

Po Naudinie przybył Masini, mistrz w innym rodzaju, ale przecież śpiewający prześlicznie. Na nieszczęście jedyne przedstawienie, jakie dał Masini („Aida“), nie obeszło się bez chrypki, która jeżeli mamy wieściom wierzyć, już od przeszłorocznego u nas pobytu artysty dokuca. Obecna przerwa w przedstawieniach teatralnych już nas na ten rok (a obawiamy się, że i na dłużej) zobawiła przyjemności słyszenia Masiniego, któremu Warszawa tak niemiłą zostawiła pamiętkę.

Opera nasza dała przez ten czas jedną nowość, a mianowicie: „Sen letniej nocy“ Thomas'a. Muzyka lekka francuzka, ale w dobrym stylu, przedstawienie średnio dobre — publiczność nielicznie odpowiedziała wezwaniu. Panie: Dowiakowska i Wojakowska śpiewały starannie i dobrze, pan Filleborn wykazał, niestety, że głos jego ma się ku zupełnemu schyłkowi, lubo naturalnie niejedno miejsce oddał z właściwym sobie wdziękiem, a grał doskonale i jeszcze kogo? Shakespeare'a! Treść bowiem opery wzięta jest z przygody, która jakoby się przytrafiła Shakespeare'owi (lubo wielu komentatorów jej stanowczo zaprzecza). Miało to być w epoce, kiedy genialny ten człowiek wielu ludzkim ulegał słabościom. Otoż rozmarzonego winem kazała przewieźć do swego zamku królowa Elżbieta i próbowała wpłynąć na poprawę jego życia, udając geniusz opiekunicy, zjawiający się mistrzowi w białej szacie, wśród księżycowej nocy. Poeta nawpół uwierzył, a ponieważ bano się aby nie uwierzył zanadto, przeto starano się później wmówić w niego, że to był tylko sen... *Nocy letniej*. Tak to i w naszym życiu najpiękniejsza nieraz chwila — snem tylko! Aby zaś snem nie skończyła się naprawdę chwila (sic) czytania mego przydługiego artykułu, składam coprędzej... pióro, i... ścielę się do stóp łaskawych moich czytelniczek.

Jan Kleczyński.

NOWINY PARYZKIE.

Teatr.—Nowe sztuki i reklamy, niebezpieczna ich strona.—Alexander Dumas i jego *Księżniczka z Bagdadu*.—Zkąd idzie początek tej sztuki? — *Les Grands enfans*, Gondmeta i d'Arhaca. Scenarium „Księżniczki z Bagdadu“ w głównych zarysach.—Sztuka Dumasa i jej przedstawiacze.—Rola panny Croizette.—Przesada autora i artystów.—Zniechęcenie publiczności. Pierwsze przedstawienie i upadek.—*Nana*, dramat przerobiony z romansu p. Zoli.—Powodzenie i oklaski.—Dlaczego? — Pan Sardou w Palais Royal.—*Rozwiedźmy się*, komedia w 3 aktach. Powodzenie sceniczne.—Jaki jest układ tej sztuki?—Jakie jej zalety i wady? — *Jack* dramat, przeróbka z powieści Alfonsa Dau-

detu. Upadek.—*Michał Strogow*, z powieści Verne'a. — *Garribaldi*, dramat, przez aptekarza (!) Bordone.

Paryż, w Styczniu 1881 r.

(Dokończenie)

Na też samą nutę jest napisana i nowa sztuka p. Sardou'a, którą z równym powodzeniem jak „Nana“ odegrywają w teatrze du Palais Royal. Jeśli wymijając wiele szkopułów, potrafię dać wam lekki przynajmniej zarys tej komedyi, nie potrafię jednak powtórzyć tego, co się tam słyszy na scenie — od początku do końca. Sztuka ma za tytuł: *Rozwiedźmy się* (*Divorcions*) i napisał ją Sardou we wspólnie z p. de Najac...

W dwóch pierwszych aktach, komedia ma ich trzy, autorowie wprowadzają nas do pięknego i bogatego mieszkania na prowincyi, państwa des Prunelles. Jestto jedno z najzamożniejszych małżeństw w Reims, w Szampanii. Państwo des Prunelles, którzy się od dwóch lat pobrali, są w najzupełniejszym poróżnieniu. Zkąd i dlaczego? prawie bez żadnej przyczyny i to jest właśnie na co się uskarża Cyprysia (Cyprienne) — tak jest na imię pani. Mąż, człowiek mający około lat czterdziestu, żeniąc się z nią, pragnął życia regularnego i spokoju; przeciwnie, młoda Cyprysia marzyła jedynie o wrażeniach gorących o słodyczy, o upojeniu, o uroku miłości.

Cyprysia jest to typ tych młodych kobiet, które w Czechach noszą nazwę „Huseczki“, o których wyobraźnia bardziej zmacona, niżeli zepsuta, karmi się miłosnymi marzeniami i pełnemi dziwactwa teoryjami o społeczeństwie i życiu; pochłaniają one zwykle całą treść tych różnobarwnych broszur, w których nowożytni Solonowie, przerabiają i poprawiają kodex prawny na krawędzi pierwszego lepszego stolika w kawiarni — *Zabij go, zabij ją, zabij ich*, nie są żadną dla nich tajemnicą; świat i życie znają lepiej nawet niż własną kieszeń. Tak usposobiona Cyprysia widzi zbawienie i szczęście jedynie w rozwodzie. Jest to początek szczęścia; bo według jednej z jej ulubionych teoryj, niemniej śmiałej jak myśl młodej pani, podaje ona za najpierwszy pewnik, „że jeśli małżeństwo dla mężczyzny równa się wejściu do inwalidów, dla kobiety jestto początek kampanii“.

Potrzeba przyznać, że bogata i młoda Cyprysia nudzi się straszliwie na prowincyi, a marząc ciągle o tajemniczych bohaterach romansów, o których niełatwo w Reims, rzuca się na pierwszego lepszego sowizdrzała, który jej wpada pod rękę. Ten powiatowy Don Juan jestto kuzyn jej męża, nazwiskiem Adhémara. Zajmując zaszczytną ale skromną posadę nadleśnego, ma on ten wielki przywilej, że od czasu do czasu ukazuje się oczom pięknej Cyprysii w pysznym zielonym mundurze ze srebrnymi haftami i w lakierowanych botfortach, co jest szczytem elegancyi w oczach każdego Francuza.

P. Des Prunelles, człowiek nie głupi wcale, pilnuje z niespokojną, ale nie uspioną, uwagą wszystkich obrotów swojego kuzynka; wie on z pewnością, że rzeczy nie zaszły jeszcze daleko, i udziela swemu przyjacielowi i powiernikowi, niejakiemu Clavignacowi, jako zakład rzeczywistego bezpieczeństwa z tej strony, dwóch arcy ważnych spostrzeżeń: pierwsze, że Cyprysia ciągle mu jeszcze pokazuje zęby: „Kiedy nastąpi chwila, iż będzie dla mnie uprzejmą — powiada — mój obrażonek będzie skończony“; drugie, że Cyprysia zajęta jest niezmiernie tem, co się dzieje w komisji sejmowej do rozpatrzenia prawa o rozwodach, które wniesiono do Izby Poselskiej; „Liczy więc na rozwód“, — dodaje des Prunelles z uśmiechem — a zatem walczy jeszcze z sobą: inaczej kpiłaby sobie z rozwodu!“

Zresztą, ten des Prunelles, który się zajmuje ślusarstwem i tokarstwem, wymyślił i zastosował cichaczem do drzwi od oranżeryi, przez które przekradał się zwykle piękny Adhémara, misterną sprężynkę, która porusza dzwonek elektryczny w jego pokoju, urządzonej nakształt tych excytarzy, które słyszymy na kolejach żelaznych w czasie, kiedy się pociąg zatrzymuje na stacyi. Za każdą wizytą Adhémara excytarz działać zaczyna i mąż zjawia się zaraz w salonie, i po uprzejmej rozmowie wprowadza gacha na ulicę.

Nie może to jednak trwać wieki; niebezpieczeństwo nagli; Adhémara wyjeżdża do Arcachon na nowy urząd z wyższą pensją, ale upewnia Cyprysię, że się dobrowolnie wyrzeka zaszczytów i władzy i woli pozostać przy niej. A w rzeczywistości, jak sam to powiada hultaj, pragnie tylko skrócić etapy, aby później, jak Bachus z Naxos, wyjechać z Reims, niewdzięcznym, ale zwyciężcą!

Uspodobienie umysłu Cyprysia podaje Adhémaraowi myśl następującego fortelu. Prawo o rozwodach znajduje się już na porządku dziennym Izby Poselskiej. Adhémara każe sobie wysłać telegram z prefektury, przez jednego z przyjaciół, który mu niby donosi, że upragnione prawo przeszło większością głosów. Ta szczęśliwa nowina usunie zapewne wszelkie skrupuły Cyprysia i ułatwi przybycie do portu. I rzeczywiście: pani des Prunelles gotowa już jest poraz pierwszy w życiu przestąpić progi mieszkania Adhémara, gdy nagle mąż się zjawia, a domyślając się, że telegram musi być zmyślony, postanawia skorzystać ze sposobności, wyprzeć Adhémara z warowni i odzyskać serce Cyprysia.

Chcąc ten zamiar doprowadzić do skutku, des Prunelles pisze bardzo grzeczny bilecik do Adhémara, prosząc go, aby przybył jaknajśpieszniej w bardzo ważnym interesie; oczekuje przybycia tak zawezwanego kochanka i rozwija przed zadziwioną i osłupiałą żoną cały plan niespodziany i nowy. „Moje kochanie — powiada jej — otóż jesteśmy wolni i niezależni i co najlepszego możemy zrobić, to się rozstać spokojnie i cicho; dosyć już fochów, sprzeczek, niezgody; mówmy teraz z sobą, poprzyjacielsku, wzajemnie, rozsądnie“. Słyszając to niespodziane zwierzenie się męża, Cyprysia wybuchła niezmierną radością; rzuca się na szyję mężowi, pierwszy raz w życiu, pieści go, całuje, powtarzając: „Jakto? doprawdy? rozstaniemy się na pewno, jakież ty jesteś milutki, grzeczny, poczytywy!“ Tu des Prunelles, nie w ciemię bity, korzystając z tak wesołego usposobienia żony, jakiego jeszcze nie widział, stara się zebrać wiadomości dokładne i szczegółowe, należytemi dowodami poparte o tem, jak dalece stosunki Adhémara z jego żoną mogły być ścisłymi. Te badania, zaspakajają des Prunelles'a. Było dużo tam lekceważenia, nieroztropności, wiele a wiele obietnic ustnych — ale nie a nie ostatecznego, a kiedy uszczęśliwiony w duchu mąż, zdaje się niedowierzać temu, „Na prowincyi, widzisz, powiada mu naiwnie Cyprysia, to rzecz nielatwa: trzeba się ciągle *żenować!*“

Ale otóż i Adhémara. Pan des Prunelles uwiadamia go o blizkiem rozstaniu się z żoną i o rozwodzie. — „Mój drogi przyjacielu — dodaje — ty kochasz bardzo Cyprysię, ja się jej zrzekam; powinienś się z nią ożenić, skoro dopełnimy formalności prawnych. — „Moje żądania, nie posuwały się nigdy tak daleko!“ pomrukuje Adhémara. — „Ale niesłusznie-bys się żalił, — odpowiada mu zimno des Prunelles — kobieta piękna i czterokrotnie posagu, dla ciebie, który żyjesz z nędznej pensyjki dwóchtysięcy sześciuset franków: to prawdziwa fortuna. Prawda, że dla niej, która przyzwyczajona wydawać rocznie sześćdziesiąttysięcy franków, to niema nawet co na ząbek położyć, te dwadzieścia dwatysięcy sześćset franków, to prawdziwa hołota; ale nie trzymając powozów i koni, jakos potraficie się urządzać — ja zresztą, rad wam nie odmówię.“

Adhémara, rozmyśliwszy się, znajduje rzeczywistość, że partya jest niezła; ale Cyprysia przeciwnie, chmurzy się i zamysła głęboko. Tak przygotowany obiedwie strony, mąż zostawia ich samnasam i odchodzi, zaprosiwszy Adhémara na obiad. Ten jest tak uszczęśliwiony, że jego płomienna miłość nawet ustępuje w tej chwili miejsca jego uwielbieniu i wdzięczności dla pana des Prunelles. Oświadcza nawet stanowczo, że postanowieniem jego niezmiennem jest: szanować

Cyprysię i nieubliżyć jej w niczem, póki ona będzie żoną tego zanego człowieka, i póki prawnie nie zmieni nazwiska. — „Wybornie! — powiada Cyprysia — coraz tu bardziej zachwiana, — wybornie! szanuj, szanuj mię drogi przyjacielu!“ — a kiedy Adhémara próbuje zaintonować nanowo stary hymn miłości, i prawi jej jakieś oklepiane dusery — „Dziwna rzecz — szepece Cyprysia na stronie — odkiedy to nie jest wzbronione, wcale mię to nie bawi!“

Piękny Adhémara, cały zajęty jedynie myślą posagu, idzie się ubrać do obiadu. Pan des Prunelles wchodzi, wyświeżony i wystrojony, jak z pudełka. — „Cóż znowu — pyta go Cyprysia, — czy nie jiesz z nami obiadu? — „A nie, ja cię zostawiam samnasam z Adhémarem.“ — „A ty gdzieś będziesz jeść obiad? — Ja w restauracyi, pod Wielkim Vatelem. — Sam? — Nie wiem, może z którym z przyjaciół. — Przyjaciół albo przyjaciółek?“ Tu następuje scena niezmiernie komiczna zazdrości: Cyprysia wyjada prawdziwą bitwę. Skoro des Prunelles postrzegł, że doprowadził żonę właśnie do żądanej mety: — „Czy chcesz się przekonać — powiada jej — że nie będę jeść obiadu z żadną kobietą? Chodź ze mną na obiad. — Jakto, do restauracyi? do osobnego pokoju? Z duszy i serca, toż dopiero będę się bawić. — A Adhémara — pyta mąż? — Adhémara? a niech idzie do licha i je obiad sam jeden! Wtem dzwoni ktoś do drzwi. — Boże mój — woła Cyprysia zakłopotana — to pan.... ale nie, jakżem głupia, to Adhémara. I biorąc żywo męża pod rękę. — „Śpiesz się, znudzi nas, jeżeli nas tu zastanie!“ A służąca, przytomna tej scenie, patrząc za odchodzącymi, powiada ze śmiechem: — „Patrz! znowu się zeszlili!“

Można sobie wystawić osłupienie pięknego Adhémara, kiedy się dowiaduje, że pani niema w domu. A służąca, która dostała zlecenie, wytłomaczyć mu, jak zechce, tę nieobecność. — Pani — powiada — wyszła do chorej ciotki. — Jakto, już teraz? — woła zrozpaczony kochanek.

Na tem, zdaje się, powinna-by się skończyć ta sztuka, dotąd zabawnie i zręcznie prowadzona. Co dalej może nastąpić, nie jest wcale ani potrzebne, ani sprytne, ani zabawne. Ale spekulacya wymagała trzech aktów; potrzeba więc było dodać ten ogon, który się ratuje jedynie dowcipkami i werwą, na których autorowi nie zbywa; powiadam, że wymagała tego spekulacya, bo rachunek prawa autorskiego jest wcale inny, kiedy się ma trzy akta, niżeli dwa. Wreszcie bowiem, gdyby dwa akty stanowiły komedyę, dyrekcya teatru dla zapelnienia wystawy musiałaby dawać jednocześnie inną sztukę, jeszcze w dwóch lub trzech aktach, i dochód dzieliłby się *pro rata* pomiędzy dwie sztuki, prawie jednej miary; tymczasem kiedy się ma trzy-aktową sztukę, dyrekcya dodaje jaką drobnostkę, która się zowie *podniesieniem zasłony* (Lever du rideau), i której udział jest bardzo mały w dochodzie.

Ztąd więc dosztukowano tu akt trzeci, o którym niemając nic do powiedzenia pod względem artystycznym, wskażemy tylko główne jego zarysy. Kiedy przemokły do nitki, spocony i zablocony Adhémara, obiegłszy wszystkie ciotki i wszystkich wujów Cyprysia, nie znajduje jej i poznaje że go wystrychnięto na dudka, państwo des Prunellesowie, bankietują i bawią się u Vatele, jak para gruchających ze sobą gołąbków. Nakoniec nieszczęśliwy Adhémara wpada na trop, leci do kommissarza policyi i sprowadza go, aby pochwycił tę parę na uczynku, aby protokołem stwierdził *delictum flagrans*. Na tem błazeństwie, które zawsze niezmiernie bawi Paryżanów i które jest w tonie i sposobach Teatru Palais-Royal, kończy się ta komedyja przeprowadzana co wieczór hucznie, oklaskami publiczności.

Skreśliwszy całą architektonikę sztuki, nie mogę wdawać się w rozbiór, bo popolsku i dla polskiej publiczności, nie da się to powtórzyć w spo-

sób przystępny: tu każdy frazes, każde prawie słowo, jest dwuznaczne i podkreślone. To, czego się Francuz-Paryżanin odrazu domyśli, dla nas byłoby martwą literą, albo przetłómaczone wyraźniej, stanowiłoby nieprzyzwoitość, uwłaczającą dobremu smakowi. Trzeba więc poprzestać na tem rysunku sztuki, w jej jakby zewnętrznych formach. Powiadam, że teatr pełon cowieczór; zabawną jest sztuka, a zabawniejszą jeszcze ta publiczność, dla której te wszystkie nieprzyzwoitości dwuznaczne, stanowią największą rozkosz i zabawę. Nie darowali Dumasowi, bo jego „Księżniczka“, bierze rzeczy poważnie, chociaż bezporównania jest przyzwoitszą, od sztuki Wiktoryna Sardou — a przyjmując z oklaskiem *Rozwiedzmy się*, bo tu się wszystko obraca w śmieszki i błazeństwo. To oni nazywają: *zachować miarę*. Tak — ale tej miary, my dzięki Bogu, jeszcze nie mamy u nas — i dlatego myślę, że tej sztuki nikt się nie podejmie tłómaczyć.

Wspomnieliśmy już wyżej o przedstawieniach *Nany*. Jeśli dodamy dramat, przerobiony z romansu Alfonsa Dandeta *Jack*, dramat, którego również ogłoszone pierwej, fantastyczne genezis, ale który haniebnie upadł, pomimo wszelkich usiłowań dzienników i dyrekcji, będziemy mieli całą tę wiązkę nowości dramatycznych, które zapelnily sezon, i które są przeznaczone do zamknięcia przedstawień w tym roku teatralnym. Nie mówię tu o *Michale Strogowie*, przerobionym z powieści Verne'a. Nie mówię o *Garibaldim* aptekarzu i intendenta niejakiego Bordone. Pierwszy z *widowiskami* (pièce à tableau), jak to nazywają Francuzi; cała jego wartość w kostiumach, dekora-cjach i t. p. akcesoryach. Drugi jest tak nędzny i głupi, że po dwóch przedstawieniach musiano podzierać afisze.

7

Otworzoną została w Warszawie

1^{sz}a SZKOŁA KORONKARSTWA.

Nauka bezpłatna.

Wiadomość bliższą powziąć można w Redakcyi „Bluszcza“.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą i na tych samych warunkach.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się półarkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Służąca posesora*; oraz półarkusz 12-ty powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

TREŚĆ. Florentyna z Domaszewskich Włoszkowa, (wspomnienie pośmiertne), przez M. Ilnicką. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Obowiązek, ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — Korrespondencya zagraniczna, (Wiedeń). — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Марта 1881 года.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg.)

Młodzieniec przeklinał ciekawość, która wprowadziła go w tak nieprzyjemne kłopoty. Po co ruszał stare szpargały? Nie lepiej by było, gdyby pozostały w kącie komody, nieznane i nieprze czytane przez nikogo? A teraz był jeszcze tak niedorzecznym, że zajął się rzeczywiście losem nieznanemu mu kobiecie i dla tego, że była chorą i starą uważał zabezpieczenie jej przyszłości za święty obowiązek. Cóż więc miał zrobić, będąc przekonanym, że nieboszeczka nadlesniczo wa, przy całym swym niezaprzeconym rozumie, pomyliła się w sądzie co do charakteru wybranej przez siebie spadkobierczyni? A może nawet została oszukana przez zręcznie odegraną komedię? Czy zatem nie powinien naprawić jej błędu i spadek oddać raczej w ręce młodego Franza? Kto mu zaręczy, czy ta jasna panna, przyjmująca tak spokojnie biedę ludzi starych, u których przebywała, nie znajdzie konkurenta, gdy wiadomość o niespodziewanym dziedzictwie, rozgłosi się w okolicy? Wyjdzie wtedy za mąż, obcy człowiek obejmie w posiadanie mająteczek zostawiony biednej chorej, która umrze z głodu i zmartwienia.

Zły i rozstrojony, potarł z niecierpliwością ręką po czole. Musiał ostatecznie połknąć gorzką pigułkę i osobiście przyjrzeć się bliżej posesorowi, jego żonie i szanownej p. Agnieszce Franz — guwernantce.

Młodzieniec przez cały dzień nie przemówił do nikogo ani słówka, a pod wieczór wziął kapelusze i poszedł drogą, prowadzącą do lasu. Lubił on niewypowiedzianie poważny szum starodrzewu, a gdy po nad głową miał zielony, kołyszący się dach z liści, gdy odetchnął silną, żywiczną wonią turyngskich jodeł, uśmiechał się pogardliwie, przypominając sobie nędzne ogrody, które ojciec wielkim nakładem i pracą założył na jałowych piaskach Brandenburgii. Tam, rozciągające się przed ich willą trawniki tylko udawały rzeczywistą zieloność natury, a ścieżki wijące się sztucznie wśród mniemanych lasków, wydawały mu się czemś tak nędznym, jak kulisy teatralne: wszystkie wiodły w piaszczyste wygony.

Wąska drożyna, uczęszczana jedynie przez strażników leśnych, oddzielała posiadłości Hirschwinkel od książęcych lasów, zwanych Grafenholz, a niedaleko po za nią rozciągała się już bezlesna dolina. Mała łączka ciągnęła się po nad drogą, w pośród niej stał dom gajowego książęcych lasów; dalej, niezbyt odległe, pięły się pod górę wspaniałe buki, graby i dęby. Dom był to ładny, nowo wystawiony z cegły budynek, z dużymi, jasno połyskującymi oknami. Okolające go sztachety zamykały małe ogródki.

Henryk dwukrotnie już dotarł do tego miejsca wśród wycieczek swoich, a i tym razem stanął w końcu zarosli, skoro tylko ujrzał czerwone ściany domku. Gajowy, który tu mieszkał, musiał wieść prawdziwie pustelnicze życie. Był to młody, nieżonaty człowiek, cały dzień zajęty obowiązkami swego zawodu. Zamknawszy mieszkanie, wybiegał w las o świcie i dla tego drzwi wiecznie były zamknięte, a po nad kominem ni-

gdy nie wiała się z wiatrem szara kolumna dymu. W oknach stało wprawdzie kilka doniczek z kwiatami, ale nie połyskiwały w nich firanki, nie ukazywała się żadna twarz ludzka, nie widać było przez nie najmniejszego ruchu i życia. Tylko wysoko w okienku poddasza wisiało kilka drewnianych klatek, w których zamknięte zięby i kosy śpiewały zwykle na całe gardło, a po za domem na stromej spadzistości pasły się dwie kozy, widocznie należące do miejsce tych pana.

Nowy dziedzic Hirshwinkel miał nieraz ochotę, zajrzeć w głąb domu sąsiada leśnika z powodu książek, jakie dojrzał tam raz przez okno. Co były parobek starego posesora mógł czytywać w chwilach wolnych od uciążliwych obowiązków w lesie i dobrowolnych posług na folwarku? Tomiki, które leżały ułożone na oknie pomiędzy doniczkami, zapewne zawierały romantyczne powieści o rycerzach rozbójnikach i zabłąkanych księżniczkach, ale oprawa ich była nieco oryginalna i widocznie pokazywała że nie pochodziły z wypożyczalni książek w Tillroda. P. Henryk stwierdził to sobie dwukrotnie uważnym spojrzeniem i dawało mu to do myślenia. A może ten leśniczy był człowiekiem ukształconym, który, jak w romansach francuzkich, czytał dzieła Rousseau i marzył o naturze, jak Bernardin de Saint Pierre? Przypomniała mu się służąca z folwarku i zaśmiał się.

Zamierzył już iść swoją drogą, gdy zatrzymał go widok jednej z kóz. Było to młode, piękne zwierzątko, które nagle zbiegłszy ze spadzistej pochyłości pędziło w zgrabnych podskokach przez bujną zieloność łączki. Starsza towarzyska kłusowała również w tym samym kierunku, z kądem teraz dał się słyszeć odgłos lekkich kroków. Henryk obejrzał się, ale zmarszczył brwi. Była to znówu ta nieznośna służąca posesora, która drażniąc go teraz swoim widokiem zepsuła mu przyjemność miłej wycieczki. Po co tu przyszła, czego szukała w pustce?

Henryk cofnął się w zarośla, ale patrzył, patrzył nie mogąc oderwać oczu od obrazu idącej, zawsze w białym kwefie i z ogromnym koszem na głowie. Kozy z radosnym bekiem biegnęły tuż obok niej, chętnie jedząc kawałki chleba, które dla łakomych przyjaciółek wyjęła z kieszeni.

On stanął za olbrzymim bukiem, aby przeciecz woń cygara nie zdradziła jego obecności, rzucił je na ziemię i przydeptał je nogą.

Dziewczyna dała kozom resztkę chleba i zbliżyła się do okna, ażeby spojrzeć przez nie. Widać w domu nie było nikogo, gdyż i kilkakrotnie powtórzona, głośnie pukanie w szybę okazało się nadaremne — drzwi pozostały zamknięte. Chcąc, nie chcąc, trzeba jej było czekać cierpliwie.

Postawiła więc kosz na drewnianej ławeczce przed domem i usiadła obok niego. Następnie rozwiązała końce chustki i odrzuciła je w tył, odychając z widoczną przyjemnością świeżem powietrzem, co dowodziło prawdy słów p. komissarzowej. Dziewczyna ta dręczyła się dla pielęgnowania płci, przez co też była nieco bladą ale dziwnie delikatną, i prawie przezroczywą, można powiedzieć arystokratyczną, i p. Henryk Markus musiał znów przyznać to, co powiedział już sobie rano, że ta przesliczna główka nie tylko wcale nie przynosiła ujmy szlachetności i wrodzonemu wdziękowi postawy, lecz uzupełniała całość doskonale harmonijną. Jemu sprawiło to prawie przykrość. Wolał by był, gdyby ta nieznośna skromnista była zyzowata, piegowata, słowem brzydką jak straszdyło na ptaki!

Odgarnęła z czoła włosy, spięte na wierzchu głowy grzebieniem i spuszczone na plecy w jednym, długim i grubym warkoczu. Poczem z głębokim westchnieniem wsparła głowę na murze, przy którym siedziała. Wydawała się smutną bardzo i skłopotaną, ale wcale nie upadła na duchu, przytem widocznie musiała być zbyt żywą

i energiczną, aby miała długo wytrwać w tej postawie zupełnej nieruchomości.

Wyjęła z kosza małą paczkę i rozwinawszy ją ostrożnie, z badawczym spojrzeniem rozłożyła na kolanach, a Henryk widział, że to były białe, delikatnie ząbkowane koronki, zapewne stare, wysłużone gałganki panny guwernantki, które teraz miały z kolei przystroić służącą. Szybkie i zręczne paluszki obracały delikatną tkaninę na wszystkie strony, przychem zdawało się, jak gdyby pieściły je z upodobaniem, lecz dziewczyna odwróciła nagle głowę w inną stronę i z pośpiechem zwinawszy znów koronki, podniosła się z ławeczki.

Na drodze ukazał się wysoki mężczyzna w zielonej kurtce. Ujrawszy czekającą, przyspieszył kroku, a i pies jego, który widocznie znużony, szedł dotąd powoli obok pana, nagle popędził jak strzała i z radosnym szczełaniem witał młodą dziewczynę.

— Bardzo tu miło wypocząć na twojej ławeczce Fryderyku, ale dobrze, że niedługo czekałam, gdyż nie mam czasu i muszę się bardzo spieszyć — rzekła dziewczyna a podsluchujący nie wątpił już teraz, że kopiowała guwernantkę, gdyż jakoś nie wiejski był uśmiech i skłonienie głowy, towarzyszące słowom.

— Mam dla ciebie pilne zlecenie, ale najpierw otrzymasz coś smacznego — mówiła dalej, i wyjąwszy z kosza pół bochenka białego chleba podała nadeszłemu. — Piekłam dziś chleb i udał mi się wybornie więc i ty, Fryderyku, powinienes go spróbować. Z chlebem już umiem teraz radzić sobie wybornie i dziś śmiać mi się chce, gdy przypominam sobie mój niepokój, gdy pierwszy raz zarabiała ciasto i ostatecznie wyjęłam z pieca spalone i twarde jak suchar bochenki.

— O tak, wtedy nieraz płakało się gorzko, pomimo całej wytrwałości — odparł Fryderyk z wesołym uśmiechem. — Położył chleb na ławce, ale przytem z niejaką obawą spoglądał na dziewczynę. — Czy mam iść do żyda, czy do złotnika? — zapytał widocznie myśląc o zleceńiu, które miał od niej otrzymać.

— Ach, sam wiesz najlepiej, że już oddawna nie mamy nic, co by można zanieść do złotnika — odparła. — Więc też Fryderyku musisz pójść do żyda. Do jutra koniecznie musimy wystarać się o osiem talarów.

On schwylił się za głowę z najwyższą rozpaczą.

— Dajesz pokój, Fryderyku — odparła żywo. — Wierzaj mi, że pilnowaliśmy z taką czujnością jak żandarmy, a pomimo tego jakiś szkaradny kramarz wkreślił się niepostrzeżenie do domu i podsunął parę pudełek drogiego cygar. Już jest z nich popiół tylko, lecz przysłali teraz rachunek i to po raz drugi, z zagrożeniem też, że jeżeli natychmiast należność nie będzie oddaną, wniosą skargę do sądu.

— Bóg mi świadkiem, że mam dość cierpliwości, ale w końcu musi jej zabraknąć, gdy się widzi tak niepojętą lekkomyślność, tak grzeszne marnotrawstwo zawołał.

Na gładkim czole dziewczyny ukazała się lekka chmurka.

— Czyż możemy zmienić to, Fryderyku? — Uśmiechnęła się smutnie. — Czytujesz teraz tyle dzieł, traktujących o naukach przyrodniczych, a nie chcesz zrozumieć, że woda wbrew naturze nigdy nie może popłynąć pod górę — dawne zwyczajy i skłonności nie opuszczają ludzi nawet w późniejszym wieku.

— Ale tak grzeszne niepomiarkowanie u starca nad grobem...

— Cicho! — przerwała mu z rozkazującym gestem. — Nam obojgu nie przystoi go sądzić i potępiać; powinniśmy tylko pamiętać o jego dobroci i szlachetności. Oto jest — mówiąc to rozwinęła znów paczkę — przedmiot, mający dość zna-

czną wartość: stare, bardzo drogie koronki. Osoba znająca się na tem zapewniła mnie, że warte są one najmniej dwadzieścia talarów. Naturalnie Baruch Mendel da za ledwie połowę ceny.

— Wątpię, czy w ogóle będzie chciał kupić coś podobnego — odezwał się mężczyzna, wzruszając ramionami i z niedowierzaniem spoglądając na niepozorną tkaninę. — Wprawdzie kupił szal i dwie jedwabne suknie, ale taką pajęczą siatkę! Obawiam się, aby mnie nie wysmiał. Może lepiej by było zanieść mu parę srebrnych łyżek...

— Ostatnie dwie łyżki! — zawołała dziewczyna z oburzeniem. — Co też mówisz Fryderyku! Och, to się nigdy nie stanie, dopóki tylko będę mieć zdrowe ręce do pracy! Ale daj pokój uwagom, nie masz pojęcia o takich rzeczach — dodała łagodniejszym głosem, oddając mu zwinięte w paczkę koronki. — Spuść się na mnie i idź na pewno do żyda, który tak samo zna się na koronkach jak na złocie i drogich kamieniach. Czy będziesz mógł iść do miasta? A może masz tam własne interesy do załatwienia?

— Nie mam, ale pójdę, gdy potrzeba.

— Wiedziałam o tem — wiedziałam, że masz zawsze niezmiennie dobre serce, Fryderyku.

Prosta ta, ale wypowiedziana z wielką życzliwością pochwała, widocznie mocno wzruszyła młodzieńca. Zaczął mijać w ręku kapelusz, poczem odezwał się, usiłując odwrócić rozmowę na inny przedmiot:

— I dziś inżynierowie wytykali dalej linię kolei żelaznej.

— O tak, na nieszczęście, i z tego powodu mieliśmy w domu wiele hałasu i zmartwienia. W ogóle cały dzisiejszy dzień był bardzo przykry. — Powiedziawszy to, umilkła i zamyśliła się smutnie.

— Domyślałem się tego. Ale doprawdy nie pojmuję dla czego nasz stary jegomość tak bardzo bierze do serca tę historję. Powinno mu to być zupełnie obojętną rzeczą, gdyż z pewnością pierwsze opuści te miejsca, zanim kolej żelazna zostanie wykończona i pociągi przebiegać zaczną koło okien folwarku. Nowy dziedzic wkrótce odbierze mu dzierżawę i... — no, zresztą niema co mówić, ma zupełne do tego prawo.

— Niewątpliwie ma prawo — potwierdziła dziewczyna, wzruszając niechętnie ramionami. — Co go mogą obchodzić dawne stosunki?

— O, ma się rozumieć! Zkąd taki młody, dumny panicz ma dbać o starą przyjaźń swej ciotki, której zresztą nigdy nie widział? Nie można nawet brać mu tego za złe. Wczoraj widziałem go w przechodzie: piękny, silny mężczyzna! Wprawdzie ma on w sobie coś szorstkiego i rozkazującego, czem odznaczają się bogaci przemysłowcy, prawie więcej jeszcze od rodowej szlachty. O, znam ja dobrze ten układ dumny i lekceważący, gdyż długo służyłem w wojsku i niemało napatrzyłem się na panów oficerów. Pan dziedzic stał rozmawiać z Piotrem Griebel przy tartaku, który ma zupełnie przebudować. Chce widać porządnie gospodarować, a że ma kapitały...

Dziewczyna odwróciła się, jakby wcale nie słuchając tego, co mówił młody gajowy i wzięła z ławeczki białą chustkę, aby zarzucić ją znów na głowę.

— Bądź co bądź, martwi mnie bardzo to smutne położenie — odezwał się gajowy. — Folwark jest tak samo stary już, jak tartak, a przytem zrujnowany, niewątpliwie nowy dziedzic zechce go przebudować, szczególnie, gdy kolej tak się podsunęła pod bok samego domu. Ale wtedy odda go pewno w inne ręce.

— A niech uczyni co chce! — rzekła dziewczyna sucho, z pośpiechem wiążąc końce chustki. — Niech nas wyrzuci za drzwi, skaże na chleb zebrać! Wiem z góry, że tak uczyni. Po całych nocach rozmyślałem, gdzie i jak umieścimy biedną chorą? Jak ją ruszymy z miejsca? — Zatrzymała się, widocznie zabrakło jej głosu ze wzruszenia.

— Ależ to najmniejsza rzecz — zauważył gajowy ze swym dobrodusznym uśmiechem, dziwnie odbijającym od opalonej i mocno zarosniętej twarzy. — Czyż jestem takim niedołęgą, abym nie

mógł wiać na ręce słabej, wychudzonej kobiety? Cały dzień niósł bym, a tak ostrożnie i delikatnie, że biedaczka nie uczuła by najmniejszego wstrząśnienia w swych zboliałych członkach. A przecież z folwarku do mego domu wcale nie jest daleko. Piękny narożny pokój wychodzi na południe, a przytem jest obszerny i widny. Tam postawimy jej łóżko, a widok pięknej zieleni będzie bardzo przyjemnym dla chorej. A i dla starego weselej tu, niż na zrujnowanym folwarku: od czasu do czasu widać choć trochę życia i ruchu, a tam nie oprócz pustego podwórza, na którym pozostało za ledwie parę starych kur...

— Jesteś dobry i szlachetny Fryderyku, ale...

A pokoik na górze — mówił dalej, nie chcąc słuchać owego *ale* i ręką wskazując na okno, w którym wisiały klatki — jest najpiękniejszy w całym domu. Każę tam postawić mały piecyk, a wtedy pewna młoda pani będzie mogła malować tam w lecie i w zimie i podczas wolnych chwil zarobić dużo pieniędzy. Tak więc nie ma co mówić o zębraczym chlebie... Tylko nie trzeba upadać na duchu — to rzecz najważniejsza.

— O, nie straćę ja odwagi! — rzekła dziewczyna z mocą i nie bez pewnej dumy. — Nieszczęście nie tak łatwo zdoła mnie ugiąć. Dotąd nie wiem jeszcze, co to jest upadek na duchu, a przytem czuję w sobie siłę młodości. Spodziewam się więc, że aż do końca spełnię święcie mój obowiązek, tem więcej gdy mam tak wierną podporę w tobie, Fryderyku.

Pochwyliła z żywością kosz. — A teraz muszę już pospieszyć z powrotem do domu, czeka tam na mnie niemało pracy. A obok tego muszę jeszcze dziś prasować. Biedna chora powinna otrzymać świeże frunki do swego łóżka, a tu właśnie zabrakło mi drzewa. Otóż dla tego to wybrałam się z tym ogromnym koszem.

Leśnik rozśmiał się, wziął z jej rąk kosz, a zarazem chleb z ławeczki i z pośpiechem otworzył drzwi domu. Wkrótce potem powrócił z pełnym koszem drzewa. Będę go nieść, przynajmniej przez las — rzekł, wzbraniając się oddać dziewczynie znaczny ten ciężar. I oto szli teraz razem, jedno obok drugiego, para istot młodych, silnych i pięknych, harmonijnie odpowiadających sobie. A pies klusował wesoło po drugiej stronie dziewczyny, jak gdyby była ona własnością jego pana, której oba powinni zazdrośnie strzedz i opiekować się nią, mając ją w pośrodku siebie.

Henryk wysunął się z zarośli i długo, długo patrzył za nimi aż dopóki nie zniknęli na zakręcie drogi. Następnie zwrócił się ku domowi, spoglądając przed siebie zaszepionym wzrokiem. Myślał że zapewne w krótkim bardzo czasie, za kilka tygodni, w pustych teraz oknach zajaśnieją wesołe białe frunki, a z poza nich ukaże się młoda, piękna pani gajowa, śmieszna w gruncie rzeczy istota z wytwornym układem, podpatrzonym w wyższych towarzystwach, zaczynająca ciasta na chleb, piorąca bieliznę...

Było to coś szczególnego nieprawdopodobnego, a jednak rzeczywistego! To dwoje młodych pracowników wspólnie, połączonymi siłami, opiekując się zubożałą rodziną swych państwa i z tego, niewątpliwie pocziwego koleżeństwa, wyniknie małżeński związek. To rzecz tak prosta i naturalna. Czyż mogła żądać czegoś więcej biedna służąca, obca w tych stronach, a której posag zapewne nie przyrośnie w takiej służbie. Będzie mieć przyzwoite stanowisko żony leśnika, piękny wcale dom i młodego, przystojnego męża, który w dodatku czytuje naukowe dzieła.

Wtedy ta niepojęta dziewczyna ze swem bezprzykładnem poświęceniem dla nic nie płacących jej państwa, będzie ich pielęgnować we własnym domu. Jak dawniej, tak i na przyszłość będzie posługiwać pannie guwernantce, zachowując dla niej ostatnie srebrne łyżki, ustrzeże jej delikatne usteczka od zetknięcia się z ordynarną blachą. I na górze, w pięknym pokoiku szczytowym będzie kwitnąć malarska sztuka, — jak powiedział Fryderyk.

Ale nagle Henryk przypomniał sobie, że przecież w rzeczywistości stary dzierżawca folwarku

i biedna chora nie są w takiej ostateczności, jak się to zdawać musi tym, którzy nieznają jego zamiarów i ostatniej woli nieboszczki Nadlesniczowej. Młody panicz pomyślał teraz z przyjemnością z której nie był by się mógł łatwo wytlomaczyć nawet sobie, że gdy zechce, gdy skinie palcem i przemówi słowo, rzecz ułożona przez uczonego gajowego rozwieje się w nic... Jego romantyczne poświęcenie nie będzie potrzebne, ale zarazem i jego połączenie z tą idealną służącą p. posesora prysnie, a przynajmniej odleć się musi na czas jakiś, na długo, jeżeli dziewczyna jest rzeczywiście tak przywiązana do swego państwa.

Tymczasem gasł z wolna i wreszcie zniknął złoty połysk zachodzącego słońca, a wraz z nim i słodki, łagodny czar, który samotny las wywiera podczas jasnego dnia. Zalegające w pośród drzew coraz grubsze cienie zasępiły również i ludzką duszę. Henryk Markus jeszcze mniej niż poprzednio umiał przezwyciężyć zły humor — biada więc natrętnym listkom i zuchwale zwieszającym się gałązkom drzew, które osmieliły się musnąć go. Łamał i deptał, kruszył co mógł i gniewał się o to na ofiary, że mu się nastęrczają, że stają się przedmiotem jego nienłości.

Czy człowiek jest z natury swej zły, czy dobrą istotą? Łatwiej to było można zrozumieć, że Henryk Markus postępował jak zwykły egoista i w chwili złego humoru karał całe otoczenie za tę winę, że go rozerwać nie umie, ale co go skłoniło do takiego podrażnienia, aby ze skrytą rozkoszą krzyżować zamiary pocziwego leśnika z Grafenholz?

Czyż nie doświadczał w tej chwili oehoty, aby natychmiast, bez najmniejszej zwłoki pójść na folwark, zapoznać się ze starym marnotrawcą, blagerem, graczem i jego rodziną i uczynić wszystko, co tylko się da, aby on, a nie kto inny wystąpił tu w roli dobroczyńcy? Tak niewątpliwie, główną pobudką było tu zadowolenie próżności i uczucie gniewnej zemsty, prawie nienawisci dla tego leśnika, jak z melodramy, który miał być pocziwym i wiernym — bo wszak tak powiedziała dziewczyna — a przecież odgrywał tylko rolę poświęcającego się, aby złowić to, czego widocznie gorąco pragnął...

Rozdrażniony i zły, jakgdyby to jemu ktoś wyrządził krzywdę, szedł coraz prędzej, a zbliżając się do tartaka, ujrzał nagle Grieblową, zmierzającą również ku domowi.

Niosła siatkę z rybami. P. komissarzowa nie wyglądała przecież tak poetycznie, jak niedawno w tem samym miejscu wysmukła dziewczyna w białej chustce, a i ciężar, trzepoczący się teraz w siatce, był znacznie większy od owej małej rybki, przeznaczonemu na posiłek dla chorej.

— O, panie kochany, popsułeś mi wszystkie moje rachunki? — zawołała z nietajomem zmartwieniem. — Czemu nie zatrzymałeś się pan w lesie choć by kwadransik dłużej, abym mogła zanieść pstrąga do domu, sprawić go i wrzucić na patelnię? Teraz będziesz pan musiał czekać, siedząc i nudząc się przy nakrytym stole, a już nie na to nie poradzę. Ale przypatrz no się pan tylko, co to za prześliczny pstrąg, najpiękniejszy ze wszystkich, które dziś ulowiono za tartakiem. Ludwisia zrobiła właśnie świeże masło, a przed pół godziną przysłało mi... Czy tylko pan zgadniesz, co? Oto młode kartofelki! Nasz dobry przyjaciel, ogrodnik u pewnego barona, u którego mój mąż był rządcą przed kilku laty, ze względu na naszą starą przyjaźń, przysłał mi dla pana ten rzadki jeszcze w naszych stronach przysmaczek... Pomyśl pan tylko, młode kartofelki o tym czasie!

Nagle zamilkła i stanęła w miejscu jak wryta.

— Otóż masz! Cóż to za jakiś gość w Hirschwinkel! — zawołała żywo, pokazując wyciągniętą ręką na jakąś ludzką istotę, która oparta głową o pień buku, leżała rozciągnięta wzdłuż przez szerokość gościńca.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg)

— Nie zdołano dostać się do więzienia — rzekł smutno wicehrabia.

— A co się stało z tymi, którzy usiłowali tego dokonać? — zapytała Kornelia.

— Zniknęli — odrzekł — Cofnęli się w lasy, uszli w góry.

Następnie Łucya zapytała o Reginalda.

— Zdrow i cały — odpowiedział — lecz pogrążony w najwyższej rozpacz. Pomimo najgorętszych usiowań, nie zdołał ocalić Edwarda.

— A więc — zawołała Pamela — już nie ma żadnej nadziei?

— Przeciwnie — odparł Tankred. — Gdyby tak było, czyż bym tu przyszedł?

Wszyscy zaczęli nalegać o wyjaśnienie.

— Ach — rzekł wreszcie z niejakim wahaniem — mój środek ratunku jest bardzo niezwykły i może powinien bym zachować milczenie. Lecz pragnę oszczędzić boleści sercom, już i tak rozdartym okrutnie. Zresztą potrzebuję twej pomocy, księżno.

— Och, mów pan, mów prędko — błagała nie-szczęśliwa matka z niecierpliwością.

Gaillefontaine spojrział dokoła, poczem zniżając głos, szepnął:

— Najprzód zapewnijmy się, czy nas kto nie słyszy...

Łucya i Kornelia wybiegły do następnych pokojów, poczem powróciwszy zamknęły starannie wszystkie drzwi.

Tankred usiadł przy księżnie. Nie był on spokojnym sam i ztąd nie mógł wlać w serca innych spokoju, ale zawsze przynosił promyk nadziei i wyznał też otwarcie, że to dać może jedynie. Potrzeba było dla jego planów nietylko odwagi, lecz nadto i zręcznego udawania, fałszu, kłamstwa. Tego musiał żądać od kobiet pogrążonych w boleści, od kobiet szlachetnych i serc uczciwych, ale było to okrutną koniecznością.

— Wiecie panie — zaczął — że w Newgate doktor Slowius Jumble zajmuje pokój tuż obok Fitz-Geralda, z którym może się widywać, ile razy zechce. Podczas pierwszych odwiedzin uderzył mnie rodzaj pracy, której oddaje się stary uczonec: chemik a nawet alchemik, i doktor. Obok tego zauważyłem, że z ojcowskim uczuciem kocha Edwarda, który widocznie posiada dar podbijania serc wszystkim.

— Drogie dziecię! — szepnęła księżna z ową naiwną tklivością matek, które nawet w dorosłych synach widzą zawsze małe pieszczołki, które niegdyś kołysały na swych kolanach.

— W chwili gdyście panie oddawały się szczęściu widzenia po tak długim rozstaniu syna, męża, brata — ja rozmawiałem z doktorem o jego ukochanym pacyencie. — Żałuję prawie, że go wyleczyłem — mówił mi Slowius z boleścią. — Zachowałem go jedynie dla śmierci na rusztowaniu i może było by lepiej gdyby był umarł spokojnie... Lecz ja byłem innego zdania, bo życie przedłużone to zawsze nadzieja i powziąłem ją opierając się na zamiarze, który z pozoru tylko wydaje się szalonym. — A czyż byśmy nie mogli ocalić go od rusztowania? zawołałem, a Slowius sądził, że chciał użyć działania trucizny. — Och, nie! — zawołałem. — Lecz czy by się nie dało spróbować owego cudownego środka usypiającego, któryś pan wynalazł, a który przez 24 godzin

mógł by nadać skazanemu wszystkie pozory śmierci?

— Ach? — zawołała Łucya.

— To było by grzechem, świętokradztwem! — szepnęła księżna.

Pamelę nade wszystko przstraszało niebezpieczeństwo.

— Niezawodnie — wyznał Tankred — to chwilowe zawieszenie życia nie jest bez niebezpieczeństwa. Lecz znacie panie głęboką naukę i doświadczenie Slowiusa Jumble. Na pytanie moje, czy rzecz jest możebną? odpowiedział potwierdzająco. Pracownia znajdowała się pod ręką, własnymi rękoma przyrządził płyn i ręczy za jego skuteczność.

— Wszystkie inne środki ratunku zawiodły nas — mówił Tankred. — Taraz pozostaje już tylko ten jeden. Zresztą doktor ma go użyć jedynie w ostateczności. Umówiliśmy się, że jeżeli dziś rano do godziny osmej nie otrzyma odwołującego rozkazu, wówczas zacznie działać.

Oczy wszystkich czterech kobiet zwróciły się jednocześnie ku skazówkom zegaru. Wskazywały one pół do ósmej.

— Miejcie panie nadzieję, jeżeli nie w ludziach to w Bogu — rzekł Tankred wreszcie — jest to już nasza ostatnia ucieczka. Gdy nadejdzie zawiadomienie, że Fitz-Gerald umarł, będziecie wiedzieć, że jest on tylko uspijonym. Jednak potrzeba udawać boleść, okazywać ponure zgodzenie się z wolą Boga. Zachowanie się pań powinno zwiesić oczy wszystkich. I to będzie chwila, w której ty, księżno, zaczniesz działać. Zażadasz pani, aby wydano ci ciało twego syna dla przewiezienia go do familijnych grobów w Kildare. Tam dopiero Edward przebudzi się, umarły dla tych, którym zawadzał na ziemi, żywy dla tych, których był szczęściem!

Gaillefontaine przestał mówić, a jeszcze słuchano go. Wokoło zupełna cisza, oprócz przyspieszonego oddechu wzburzonych niepokojem piersi. Nagle dało się słyszeć nieśmiałe pukanie od głównej bramy.

— Cicho! — rzekł Tankred, kładąc palec na usta. — Najmniejsze podejrzenie, a wszystko było by zgubione nieodwołalnie.

Na skinięcie księżnej, Łucya pobiegła otworzyć pozamykane drzwi. I ta ostrożność mogła wzbudzić podejrzenie.

Po chwili wszedł Tony.

Na poczciwej twarzy murzyna wrytą była najwyższa rozpacz.

— Pani — odezwał się do Pamel — jeżeli chcemy zobaczyć po raz ostatni pana, nie mamy ani chwili do stracenia. Już wnoszą rusztowanie na wielkim placu...

Na tę wiadomość matka, żona i siostra wydały okrzyk przerażenia.

— Oto dwa listy — dodał murzyn.

Jeden z nich, w dużej kopercie, opatrzonej pieczęcią państwa, był zaadresowany do księżnej, drugi, prosty bilet, do Łucyi.

— Oddał się, pozostaw nas samych — wyrzekł Tankred do wiernego sługi. Poczem przystąpiwszy doń bliżej, dodał cichym szeptem: — Nie trać nadziei, jeszcze nie wszystko stracone!

Pomimo tych pocieszających słów, Tony oddalił się, tłumiąc łkanie.

Księżna rozdarła urzędową kopertę, a ta zawierała upoważnienie do odwiedzenia skazanego. Służyło ono tylko do południa.

Bilet z podpisem Reginalda składał się z następujących słów:

— Nie ujrysz mnie już nigdy. Przebac mi!

— O Boże, cóżby się działo z nami, gdyby nie ta nitka nadziei? zawołała Łucya. Matko — dodaj odważnie — trzeba śmiało działać...

Na zegarze wybiła ósma godzina.

— Módlmy się! — rzekła księżna, klękając.

Trzy inne kobiety poszły za tym przykładem.

— Jeszcze, jeszcze jest nadzieja — szepnął wicehrabia — nitka nadziei jak powiedziałas pani — dodał zwracając się do Łucyi. Potrzeba sercom naszym zawisnąć na niej i zebrać męstwo...

W duszy wcale nie był tak spokojny, jak to na

pozór udawał. Ile przeszkód, ile katastrof mogło jeszcze nastąpić? Żeby się powiodło, trzeba było mieć już Edwarda w podziemiach grobów w Kildare — a kto wie, może tam ukaże się jedynie trup jego!

A potem jeżeli usypiający płyn nie zdoła wyrwać ofiary z rąk kata? Jeżeli w oznaczonej godzinie Fitz-Gerald będzie jeszcze w stanie takim, aby go powleczono na rusztowanie?

Jednakże Tankred, zaufał nauce i gorliwości Slowiusa Jumble. Przytem starzec stanowczo zobowiązał się, że nie go nie powstrzyma od wykonania umówionej próby.

I w istocie doktor wczasu już zręcznie przygotował umysły. Na dwa dni przed posiedzeniem sądu przysięgłych kazał się zaprowadzić do komendanta fortecy i oświadczył mu, że stan zdrowia Fitz-Geralda prawdopodobnie nie dozwoli mu znieść rozpraw. Nazajutrz i na trzeci dzień powtórzył to samo twierdząco. Perkins przybył osobiście, i naocznie sprawdził osłabienie i widoczny upadek sił więźnia. — Silniejsze wzruszenie niezawodnie przyprawi go o śmierć — powtarzał umyślnie i kilkakrotnie Slowius. A zdaniu jego, jako doktora, wszyscy ufali niezachwianie.

Pomimo tego, w zastosowaniu się do wyraźnego rozkazu Pitta, proces odbył się w oznaczonym dniu.

Po ogłoszeniu wyroku, Slowius Jumble zbliżył się do lorda Cornwallis i wskazując na Fitz-Geralda, szepnął mu cichym głosem:

— Zatrzymajcie się dzień jeden, najwięcej dwa, a oszczędzicie pracy katowi...

— Oby spełniły się słowa twe doktorze! — odpowiedział wicekról, który nie mogąc nie uczynić dla lorda Edwarda, pragnął przynajmniej, aby więzień nie był publicznie stracony.

Gdy później dowiedział się, że ślub Reginalda z Łucyą już się odbył, życzenie to stało się prawie nadzieją.

Nadzieję tę podzielał również stary Perkins, który lubo potępiał zasady Fitz-Geralda, jednak oddawał sprawiedliwość jego szlachetnej miłości ojczyzny i rycerskiej waleczności. Mówił o nim smutnie:

— Rusztowanie nie jest dla podobnych ludzi!

Wszystko więc zdawało się sprzyjać zamiarom doktora i wprawiało go to niemal w wesołość.

— Doskonale! Wybornie! — szeptał sobie, zacieraając ręce. — Spodziewają się, że umrze, nawet pragną tego — ergo tedy, nie będzie ani zadziwienia, ani sprawdzeń. Uwierzą mi na słowo.

Należało jeszcze uprzedzić Fitz-Geralda, który dotąd nie widział o niczem, nie podejrzewał nic jeszcze.

Podczas procesu wszyscy zauważyli jego śmiertelną bladłość. Zdawał się umierającym, jeszcze przed wyrokiem uważano go za męczennika.

Przecież spokojnie i z podniesioną głową powrócił do więzienia. Dopiero gdy drzwi zamknęły się za nim, zabrał mu sił. Musiał położyć się w łóżko — natura wreszcie odzyskała swe prawa, na chwilę zwyciężone przez uczucie dumy.

— Czuję się słabym jak dziecko — odezwał się do Slowiusa. Potrzebuję koniecznie trochę wypocząć. Dasz mi jaki wzmacniający środek — wszak prawda przyjacielu! Powiniennem z godnością przeżyć ostatnią ziemską godzinę. Chcę umrzeć tak jak żyłem, jako żołnierz walczący za ojczyznę, za sprawę świętą.

— Och, jeszcze nie wszystko stracone! — szepnął doktor.

Edward uśmiechnął się tylko.

Slowius Jumble sądził, że teraz nadeszła chwila, aby odkryć mu zamiar Gaillefontaine'a.

— Czy zapomniałeś o swych przyjacielach? — mówił dalej. — Licz na ich gorliwość i ufaj niezachwianie. Może im się uda, otrzymać dla ciebie ulaskawienie.

— Nie przyjąłbym go! — oświadczył Fitz-Gerald stanowczo. — Chyba, że rozciągało by się i do braci Sheares... Jeżeli oni zgina i ja muszę podzielić ich los. Nie można uciekać przed ru-

szowaniem, tak samo jak przed nieprzyjacielem, bez zniesławienia się!

Ta dumna odpowiedź skłoniła doktora do zmiany taktyki.

— Do licha! — pomyślał. — Nie pójdzie to tak łatwo, jak przypuszczałem. Może w nim samym znajduję główną przeszkodę.

XXIX.

Przejście z życia do śmierci.

W kilka chwil później Fitz-Gerald usnął snem gorączkowym.

Ostatnie postanowienie, ostatnie słowa powtarzał niby w malignie:

— Nie—szeptał—nie, życie nie dla mnie samego! Ulaskawienie i dla braci Sheares, lub śmierć razem z nimi!

Słuchając go, Slowius Jumble pomyślał:

— Ach, odmawiasz! A więc trzeba cię ocalić nawet bez twej wiedzy!

Potem przypatrując się śpiącemu przyjacielowi, szepnął z rozczuleniem.

— Jest to z pewnością jeden z najlepszych ludzi, jakich spotkałem w życiu. Lecz i u niego duma przeważa nawet nad uczuciem i obowiązkiem! A dzieci twoje, szlachetny egoisto! A żona twoja, siostra, matka! Lecz ja pamiętam o nich i przez tę pamięć skazuję cię na życie!

Powiedziawszy to, doktor powrócił do swej pracowni, nie zamykając jednak drzwi od pokoju Fitz-Geralda.

On sam skazany był jedynie na wygnanie. Niewątpliwie w krótkim czasie wydała go z ojczyznej ziemi. Jak za zwyczaj starcy, Slowius sypiał bardzo niewiele. Pierwszych więc godzin nocy użył na uporządkowanie swych ksiąg i papierów. Czyż nie należało przedewszystkiem myśleć o rękopiśmie, o swem przyszłym dziele, o tem dziś już głównym celu jego życia? Po Irlandyi kochał najwyżej naukę.

Praca ta zajęła go tak mocno, że nawet nie usłyszał pierwszych strzałów, lecz hałas obudził już Fitz-Geralda.

Obwinięty szeroka kołdrą szkocką, ukazał się nagle na progu pracowni, wołając:

— Slowiusu, przyjacielu, słuchaj! Byłem pewny że nasze zuchy, nasi poczciwi przyjaciele nie założą rąk i nie ograniczą się do łez. Przybywają oswobodzić nas i to wszystkich, wszystkich razem!

Przez chwilę doktor podzielał złudzenie. Dźwięczne echa Starego Zamku powtarzały, pomnażając odgłosy strzałów karabinowych i huk dział fortecy. Niekiedy nawet zdawało się, że walka wrzała już wewnątrz warowni. Drzwi jak gdyby wstrząsane gwałtownymi uderzeniami, otwierały się z hałasem. Chwilami wielka wrzawa, podobna do szumu wzburzonych bałwanów, zdawała się rozbijać o mury więzienia. Był to zatem szturm, a może nawet już zwycięstwo?

Edward wierzył w powodzenie: gorączka i nadzieja egzaltowały go jednocześnie. Nigdy nie był piękniejszym. Oczy jego połyskiwały, bohaterskim ruchem zdawał się dowodzić walczącym, których widział przez grube mury fortecy.

Jaskrawy blask zajaśniał w oknie — zdawało się, że całe niebo jest w płomieniach.

— Aby tylko nie spalili Newgate! — zawołał Slowius Jumble z przerażeniem. — Ach! moje notatki, mój rękopis!

Z gorączkowym pośpiechem zaczął zbierać papiery, jak gdyby chcąc unieść je, bronić przed ludźmi i żywiołami.

— Oh! — rzekł uspokoiwszy się po chwili. —

Życie, to drobnostka, nie dbam o nie! Lecz co do rękopisu o to rzecz całkiem inną! To skarb o wiele droższy, to moja nieśmiertelność!

Wzburzenie Fitz-Geralda nie ustawało, owszem rozplomieniał się coraz bardziej gorączkowym zapalem.

— Przybywajcie! — wołał. — Przybywajcie bracia moi, Irlandyjo! wstawaj... I wy również, którzyście niegdyś walczyli za tę samą sprawę, wy, którzyście ulegli! Przybywajcie wszyscy, wychodźcie z waszych grobów, patrzcie! Oto wreszcie świeci jutrzienka wyzwolenia!

Wydawał się czarodziejem, wywołującym duchy. I wymieniał po nazwisku wszystkie te cienie bohaterów i męczenników, ukazujących się przed jego wzburzoną wyobraźnią:

— Ach, ty tu pierwszy, Brianie Born, i ty Malachy! zwycięzcy Duńczyków! Próżno ocaliliście wtedy Irlandyją, nowi ciemniejsi przygniatają ją stokroć straszliwiej! Wypędźcie ich!... Czy nie widzicie Lawrence'a, wielkiego biskupa Dublinu, który błogosławił was? O! są tu także i inni jeszcze O' Ruare, Rodryk i Robert Bruce, którzy spieszą za wami. I jeszcze inni: O' Neil, O' Brienowie, O' Connor, Jerzy Moor, Desmondowie, wszyscy wiecej, szlachetni ofiarnicy, występujący jedni po drugich w bohaterskiej walce przeciwko drapieżnej Anglii!

Naderemnie doktor, obawiając się tej egzaltacji, starał się ją powstrzymać, Edward, zapalał się coraz bardziej i była to już prawdziwa maligna.

— Patrzcie, patrzcie! Oto ci tam, to nie są jedynie moi rodacy, lecz moi przodkowie, waleczni hrabiowie z Kildare? O, jak świetną była ich rola w naszych dziejach! Witaj Tomasz Fitz-Geraldzie!.. Wszak wy tam znacie jego historję? O na Boga! nie ma Irlandczyka, który by jej nie znał! Był właśnie w moim wieku, pomagało mu pięciu stryjów, pięciu innych Fitz-Geraldów. Wywaleczyli już niepodległość Erynu. Nie mogąc zwyciężyć pochwycono ich zdradą. Trzeciego Lutego 1536 roku powieszono ich i rozewiertowano w Tyburn! I teraz chcą, abym przebaczył! Nigdy! Nigdy!.. Ostatnia walka rozpoczęła! Oto słuchajcie jak wrze wokoło tych wałów! Do bronii! Naprzód! Żywi i zmarli uderzajcie! Wyswobodźcie nas, pomścicie! Nadeszła wielka godzina!..

Slowius Jumble zdołał wreszcie pochwytać obie ręce nieszczęśliwego. Przymusiwszy go do siedzenia w fotelu, zaczął przemawiać do niego z powagą:

— Strzeż się! Staraj się opanować uniesienie, które ci zapala mózg. Nie chcę, abys się poddawał podobnym halucynacyom, które cię mogą doprowadzić do szaleństwa.

Rozkazujący głos doktora, tkliwie przywiązanie błyszczące w jego poczciwych oczach, wreszcie ostatnie słowa, które wymówił, odniosły zwycięstwo nad obłąkaniem Fitz-Geralda.

— Nie! — odrzekł, przychodząc do przytomności. — Nie jestem szalony, to tylko gorączka... Spałem... marzyłem — i przebudziwszy się, zdawało mi się, że mój sen zaczyna się urzeczywistniać. Nie bój się, drogi przyjacielu, to uniesienie przejdzie, już przeszło, jestem zupełnie spokojny.

I w istocie mówił prawdę.

— Dobrze — rzekł Slowius — jestem zadowolony. Czekajmy, słuchajmy.

I oba zaczęli słuchać z uwagą. Odgłos walki zmniejszał się, oddalał.

— Odparto ich — szepnął ze smutkiem starzec.

— Och, powrócą znów! — zawołał z żywością lord Edward.

— Pamiętaj, zachowaj zimną krew! — upomniał znów doktor. — Nie możemy uczynić nic, możemy tylko czekać i prosić Boga, aby się im powiodło. Siwe moje włosy nadają mi prawo do postępowania z tobą jak z własnym synem, tem

więcej że kocham cię, jak moje rodzone dziecko. Otóż jeszcze raz proszę cię, bądź spokojnym.

Fitz-Gerald przyrzekł zachować nadal zimną krew i dotrzymał słowa. Nie poruszając się, nie mówiąc, pozostał cichy w fotelu starca, który powrócił do porządkowania swych papierów.

Od czasu do czasu oddalone strzały dochodziły do ich uszu. Raz tylko zdawało się, że się znów zbliżają, lecz po krótkiej chwili uciszyło się zupełnie. Rozpacz opanowała biednego Edwarda. Jego ponura nieruchomość stawała się niepokojącą, przyszły z kolei dreszcze, całe ciało drżało konwulsyjnie, zęby uderzały jedno o drugie.

— To reakcja — rzekł doktor, biorąc przyjaciela za rękę. — Musisz położyć się do łóżka; koniecznie musisz, nie powinieneś tracić sił.

— Tak — ponieważ trzeba mi być odważnym — rzekł Edward i wcale nie opierał się, dał się zaprowadzić do łóżka, położył się, posłuszny jak dziecko.

Ciepło pod kołdrą sprawiło mu niejaką ulgę, a jednak był tak bardzo osłabiony, że — jak się zdawało — nawet myśleć przestał. Owładnęła nim zupełna osłupiałość, pomimo tego oczy pozostały otwarte.

— Śpij — polecił mu Slowius Jumble. Jest to rozkaz doktora i zarazem przyjaciela.

Oczy skazanego zamknęły się nareszcie.

Gdy je otworzył, już słońce było wysoko na horyzoncie.

Doktor siedział przy łóżku chorego, trzymając w jednej ręce zegarek, w drugiej małą flaszeczkę.

— Już jest po ósmej — rzekł — i wkrótce zapewne przyjdą do ciebie krewni: matka, żona, siostra..

— Tak sądzisz, doktorze?

— Jestem pewny tego. Przypominasz sobie, że prosiłem mnie, abym przygotował dla ciebie jakiś środek podtrzymujący siły?

— Ach tak... napój wzmacniający!

— Oto jest... wypij, tylko wszystko!

Powiedziawszy to, odkorkował flaszeczkę i podał ją skazanemu.

Fitz-Gerald nie namysłając się spełnił rozkaz. Likier był gorzki i bardzo mocny. Chory wypisły, wstrząsnął się z mimowolną odrazą.

— Zdawało mi się — szepnął podnosząc się z trudnością — że wypilem żarzący się ogień. — Poczem po chwili milczenia dodał: — Powiadasz, że przyjdą.. Ach tak, rozumiem... dla pożegnania się ze mną. Moja matka, żona, Lucya, Kornelia, dzieci! Biedne sieroty! Biedne kobiety! Powinienem, och koniecznie powinienem uspokoić je, dodać im odwagi...

— Dopomogę ci — przyrzekł starzec. — Pociemy je...

— A nadewszystko — przerwał mu Edward — nadewszystko czyni to wtedy przyjacielu, gdy mnie już nie będzie. Rozpoczynający się dzień jest dla mnie ostatnim!

Myśl ta wywołała smutny uśmiech na blade usta.

— Co za przesłiczne słońce! — mówił dalej, wyciągając wychudzoną rękę ku jasnemu promieniowi, spływającemu z wysokiego okna. — Zdawało by się, że i ono chce się pożegnać ze mną. Doprawdy, od powrotu z Kildaru nie widziałem tak pięknie świecącego słońca! Dziś w nocy śniło mi się Kildare... ukochany mój dom rodzinny... ogród... wszędzie woń kwiatów i roskoszny śpiew ptasząt. Pamela, dzieci, wszystkie moje radości małżonka i ojca zostały mi powrócone! Och, wszak pamiętasz, Slowiuszu, jak bardzo, jak niewypowiedzianie bardzo byliśmy tam szczęśliwi!

Łza, duża, błyszcząca łza, stoczyła się po twarzy skazanego.

(Dalszy ciąg nastąpi)